



salwa an-nu'ajmi
moje ciało nie ma historii



Wydawnictwo
ab

SERIA Z MIOTŁĄ

Salwa an-Nu'ajmi

MOJE CIAŁO NIE MA HISTORII

przełożyli Marek M. Dziekan, Karolina Bober



W tej kopercie nie ma przypadku ani przeznaczenia. Chyba że niespodzianka stopniowo przekształci się w przeznaczenie, niby nic nie robiąc. Nie jest to niemożliwe. Albo jeśli przeznaczenie, chcąc jej zaszkodzić, uderzy ją za karę, ponieważ poszła tam, gdzie nie wolno.

Dominique Fourcade, *Masque*

Odziedziczyłem ciemny las, ale dziś pójdę do innego lasu, do lasu pełnego światła.

Thomas Tranströmer

To był koniec opowieści, choć się nie skończyła. Zakończyła się całkiem inaczej. Może napiszę początek i koniec za kilka dni.

Spróbuję przesylabizować wszystkie uciekające litery. Przywrócić z fragmentów ich pierwotny układ, aby nauczyć się zapomnianego słowa: Ojczyzna.

Spróbuję?

Czy powstanie nowa opowieść?

OPOWIEŚĆ NIE BĘDZIE OPOWIEŚCIĄ, JEŚLI...

Inni śnią o swej przyszłości, ja zaś śnię o przeszłości. Planują swoją przyszłość, a ja planuję przeszłość.

Jestem córką opowieści. Córką słów: „Dawno, dawno temu”.

Urodziłam się z opowieści?

Nie. Urodziłam się z dwóch opowieści. Urodziłam się na styku dwóch opowieści.

Urodziłam się z dwóch opowieści. Urodziłam się z dwóch rozmaitych przekazów – historii małej i wielkiej. Od początku wiedziałam, że opowieść to punkt widzenia.

Wiedziałam od początku, że to, co opowiadamy, zależne jest od punktu widzenia, i to wystarczyło, aby zniszczyć wszystko.

Zniszczyć?

Muszę znaleźć inne słowo, odpowiednie dla tego, co przeżyłam.

Urodziłam się na styku opowieści mojej matki i mojego ojca, a kto urodził się na styku, ten nie znajdzie dla siebie miejsca.

Na styku była opowieść o miłości – piękna, jak wszystkie miłosne opowieści, ale pomieszala się z opowieścią o historii. Musiała się mieszać, a ja zgubiłam się w opowieści o dwóch opowieściach.

Urodziłam się z opowieści o miłości, która przekształciła się w opowieść o małżeństwie. Z kolorowej opowieści, która stała się czarno-biała.

Od początku rozumiesz, że twoja opowieść jest inna i dzieli się na dwie. Uczysz się, jak zachowywać się wewnątrz rodziny i poza nią. W szkole i na podwórku. Pod czujnym okiem sąsiadów i z dala od nich. Wśród bliskich i wśród obcych.

Od początku pamiętasz, że wszystko ma swoje miejsce, że nie należy mówić wszystkiego, co się wie, nawet części tego, co się wie.

Od początku uczysz się przesiewać słowa i fałszować swoje świadectwa. Zapominać, co widziałas, i pamiętać to, czego nie widziałas.

Od początku próbujesz układać fragmenty opowieści, wypełniać jej brakujące miejsca, wierząc, że ich wypełnienie sprawi, iż opowieść wybuchnie niczym bomba, niszcząc wszystko wokół ciebie.

Próbujesz ją opowiedzieć sobie, zanim zyskasz świadomość, że opowiadasz ją innym. Upiększasz ją wielkimi kłamstwami i małymi legendami. Faszeryujesz ją rozważaniami, które ci pasują, ale celowo

mijają się z prawdą.

Czyż opowieść nie staje się opowieścią dopiero wtedy, kiedy ją opowiemy?

Nad moją ukrytą opowieścią nadpisałam wiele innych. Nad pierwszą opowieścią nadpisałam wiele innych. Opowieść nad opowieścią nad opowieścią. Nakładają się na siebie, przeplatają, przenikają. Opowieść wsącza się w inną opowieść i traci swój koniec.

Cóż z niej pozostaje?

Kto poczuje zapach pierwszej kropli, która nadała woń wszystkim opowieściom? Kto ją znajdzie pod siedmioma warstwami opowieści?

POD MOIM ŁÓŻKIEM JEST CMENTARZ

Kiedy moja mama zmarła po raz pierwszy, modlili się za nią w kościele. Ksiądz mówił o miłości małżeńskiej, która połączyła mężczyznę i kobietę z dwóch różnych religii na jednej poduszce, w cieniu jednego Boga. O dzieciach, ich wychowaniu i edukacji w cieniu jednego Boga. Moja mama spała w swej trumnie, a my siedzieliśmy na drewnianych krzeselkach za nią. W kościele na Bab Tuma na Starym Mieście w Damaszku była nas garstka.

W kościele moja mama leżała w trumnie, w różowej poświacie.

Czy to jedna z barw opowieści?

Moja mama leżała w trumnie, a śmierć jest słodkim snem bez marzeń. Słodkim snem bez koszmarów. Od kiedy nie miałam żadnych nocnych koszmarów?

Co kryje się za widokiem trumny mojej matki i różowego koloru?

Klepsydra była przyklejona na ścianie obok drzwi otwartych na przyjęcie żałobników. Były na niej nasze imiona obok imienia mojej mamy i jej rodzeństwa – Jacqueline, Christo i Salima; imię mojego ojca i jego rodzeństwa – Aminy, Chadidży, Ahmada i Alego.

Dwa egzemplarze schowałam wśród swoich papierów i nie otworzyłam ust, kiedy przyszły świeżo wydrukowane z drukarni. Sprawdziła je uważnie moja starsza siostra, aby upewnić się, że nie zapomniała tam niechcący o nikim z rodziny; żeby nikt nie pomyślał, że pominęła go celowo, chcąc wymazać ze swego życia i ze śmierci mojej mamy.

Kiedy moja mama zmarła po raz ostatni, nie smuciłam się. Przyzwyczaiałam się do jej śmierci, a smutek stał się jednym z kolorów mojej krwi. Wcześniej umierała już kilka razy. Muszę zweryfikować całe moje życie, żeby policzyć, ile razy to było i kiedy. Po raz pierwszy stało się to... Ale po co to wszystko? Moja mama umarła i nasyciła się śmiercią w dniu pogrzebu. Moja mama umarła i nikt nie wypowiedział nazwy choroby, która spała z nią w szerokim łóżu. Nikt z nas nie odważył się jej nazwać.

Kiedy mama umarła po raz ostatni, nie smuciłam się, ale odegrałam rolę, jaką powinnam zagrać z całą powagą – jak zwykle. Ubrałam się na czarno, tak jak moje rodzeństwo, przyjmowałam kondolencje w damasceńskim kościele. Słuchałam słów pocieszenia

wypowiadanych łamiącym się, łzawym głosem. Dla ożywienia człowieka nie wystarczą łzy przelane z bólem, przeciwstawiające się rozpadowi. To nie wystarczy. Tak robili wszyscy, nawet tata. Zadowoliliśmy się mechaniczną wymianą informacji, żeby uniknąć spotkania się wzrokiem.

Nawet tata – zapytałam? Nie, taty tam nie było. Umarł już i pochowany został na cmentarzu w rodzinnym mieście, daleko stąd – tak, jak nam nakazał.

– Czy chcesz być pochowany jako muzułmanin?

– Czy chcesz mnie śledzić nawet po śmierci? – odpowiadał, nieco złośliwie, ojciec.

Wszyscy się śmialiśmy, ale to nie była różowa opowieść, jak w tym damasceńskim kościele z moją mamą śpiącą w swej trumnie.

W Misjafie, po drodze do historycznej cytadeli, ciotka wskazała ręką w nieokreślonym kierunku: twój ojciec jest pochowany tam. Nie odpowiedziałam. Grzebałam w małym aparacie fotograficznym i nie odpowiedziałam ani słowa.

Mój tata został pochowany samotnie w swoim rodzinnym mieście, daleko od mojej mamy.

Mój tata został pochowany w swoim rodzinnym mieście. Byłam tam i nie odwiedziłam jego grobu – zajmowałam się fotografowaniem zabytków.

DLA LUDZI Z ZACHODU MAMY ŁOŻE NAD RZEKĄ KAUSAR¹

– Nosisz czerwony płaszcz i chcesz być niedostrzegalna? Powinnaś wybrać inny kolor – powiedział do mnie drwiąco jakiś nieznajomy w pociągu ekspresowym jadącym nad morze.

Siedziałam przyciśnięta do okna. Usiłowałam zasłonić twarz czapką i zasnąć. Kiedy otworzyłam oko, siedział naprzeciwko i przyglądał mi się z uśmiechem. Na kolanach miał czarny laptop. Wydawało mi się, że zdanie, które rzucił dla zabawy, było skrótem komedii mojego życia.

Teraz przyszła kolej na mój uśmiech.

Mówią, że nie można dostrzec wiatru. Wiemy, że jest, widząc wznoszące się liście i kołyszące się drzewa. Nie mogę zobaczyć miłości. Wiem, że jest, kiedy spoglądam w lustrze na swoją twarz obok twarzy nowego chłopaka: oto ja, znów zakochana.

Są ludzie, którzy chwalą się swoimi zwycięstwami. Ja chwale się tylko miłością. Znam tylko ofiary miłości i wiem, że wszystko, co zrobiłam w swoim życiu, zrobiłam właśnie dla niej.

Jako kobieta miłości nie mogę spotykać innych mężczyzn jak tylko tych, którzy się mną rozkoszują. Niosę pragnienie niczym sztandar zwycięskiego wodza i każdy, kto wychodzi mi naprzeciw, musi wejść w jego cień.

Mój chłopak spogląda na mnie za każdym razem zachwycony: jakaż jesteś piękna! Cóż to za opowieść?

Spogląda na mnie i staje się piękna.

Do imienia każdego chłopaka wiedzie jakaś droga. Oni się zmieniają, ale miłość pozostaje.

Mężczyzn, których pokocham, poznaję od pierwszego spojrzenia. Spoglądam na kogoś z nich i od razu wiem, co mnie z nim czeka. Rośnie blask w moim wnętrzu i jaśnieje w spojrzeniu, ruchu, słowie i uśmiechu. Po dziś dzień to wzajemne pragnienie. Nie zdradziłam siebie samej, przyjmując coś, jeśli już, to raczej odrzucając. Wczoraj, kiedy zobaczyłam nowego chłopaka, było to jak moment niespodziewanego odkrycia. Uświadomiłam sobie tajemnicę mojej niezwyklej radości: akceptacja? Odrzucenie? Akceptacja mojego pragnienia i tego, co mi narzuca, albo jego odrzucenie, gra z nim aż do końca – w tajemnicy lub otwarcie.

Przygląda mi się w restauracji, jakby widział mnie po raz pierwszy. O mało się nie udławiłam.

„Czemu tak na mnie patrzy?” – zastanawiam się, dość skrepowana.

– Jesz i jak gdybyś... – przerywa zdanie głośnym śmiechem. – To, co widzę, widzą teraz wszyscy. Ucieleśnienie słodyczy. Masz pełne usta i prawie się dławisz. Dla dopełnienia obrazu czekam na głosy zachwytu.

– Teraz dużo lepiej – odpowiadam kpiąco.

– Jesteś kompletnie otumaniona. Idziesz, jakbyś go miała między nogami, jesz, jakby był w twoich ustach. Kompletnie otumaniona!

– Teraz zrozumiałam i moje serce się uspokoiło. Zasługuje na więcej. Nie odkrywasz nic nowego. Z tobą mogę tylko „otumanieć”.

Pocałunkiem zmusza mnie do milczenia, lecz wiem, że mówię prawdę. Mówię prawdę, śmiejąc się jak zwykle. Nieostrożnie przekazuję ją dalej. Nie jestem w stanie wypowiadać jej na poważnie. Bronię się bez problemu i mówię, co chcę, nie przejmując się niczym. Z życiem psychicznym nie ma żartów – te słowa wracają do mnie niczym zepsuta płyta po każdym uśmiechu i powtarzam je za nim jak pilna uczennica.

Nigdy mu nie powiedziałam, że odróżniam jego smak w swoich ustach i że teraz czuję się tak, jakbym go smakowała. Nie powiedziałam mu. Nie opowiedziałam mu szczegółów tego, co przeżywam z nim i z innymi. Wiem tylko, że nie zapominam. On też nie zapomina. Opisuje, analizuje, kontempluje, wyciąga wnioski, pyta i odpowiada, moje milczenie go peszy. Mówią, że różnica między mężczyznami a kobietami to pamięć: kobieta pamięta, a mężczyzna zapomina. Być może to ładne powiedzonko i można je powtarzać jako wieczną mądrość, lecz ja wiem, że to tylko jedno z przysłów, które nie zawsze mają cokolwiek wspólnego z życiem i rzeczywistością.

Wiem z doświadczenia, że tym, co różni go ode mnie, są wypowiedane głośno słowa.

Nie mówię w samotności.

Nie mówię w milczeniu.

Nazywa mnie niemową.

LÓD NA MOICH SŁOWACH

Abbas pije swoje espresso, ja zaś zieloną herbatę. On nie przestaje mówić, ja kiwam głową i mruknięciami potwierdzam, że podążam za jego myślą. Wybiera temat oczywiście taki, który jemu się podoba, ja mogę go tylko słuchać. Za biurkami naprzeciwko siebie. Każde ma określoną rolę: on stoi na scenie, ja jestem widzem. Uzupełnialiśmy się wzajemnie.

– Gdy byłem nad Zatoką, podrywałem pewną Egipcjanke, która pracowała w naszej w firmie, w dziale PR. Bardzo jej się to podobało. Myślałem, że chodzi o to, że jesteśmy krajanami. Kiedy spałem z nią po raz pierwszy, powiedziała, że jest kochanką dyrektora naczelnego. Zmartwiałem z przerażenia, ale mimo to spotkaliśmy się ponownie. Istniała między nami niezwykła harmonia seksualna. Dziewczyna była piękna i gorąca. Po powrocie do Egiptu znów się z nią zobaczyłem – miała urlop. Dziwne, ale nasze *tête-à-tête* było niezbyt gorące, nawet w łóżku, jak gdyby spotkanie poza miejscem, gdzie zetknęliśmy się na początku, zmieniło wszystko. Na imię miała Muna.

Zamilkł na chwilę, jakby odtwarzając sobie dawne obrazy, a potem kontynuował:

– Kiedy spotkałem dawną sąsiadkę, okazało się, że przeniosła się do innego budynku. Natknąłem się na nią przypadkiem w kawiarni. Pociągała mnie od dawna. Oczywiście mężatka. Poszedłem z nią do jej domu z butelką dobrego wina. Napijesz się kieliszek i twoje ciało otworzy się od razu na seks. Jakieś czary. Poszedłem za nią do kuchni. Przytuliłem się do niej od tyłu, odwróciła się, zacząłem ją całować. Położyła się i zaczęła... och... Pompa, prawdziwa pompa, o Boże...

Uśmiechnął się i opowiadał dalej:

– Kiedy byłem w niej, zapytała: „Ciągle ci odpowiadam?”. „To dowód – odpowiedziałem. – Czy chcesz mocniejszy?”.

Wybuchnął gorącym śmiechem, który wznosił się i wznosił, żeby nagle twardo opaść. Zamilkł na chwilę, po czym znów się ożywił i znów przysła mu chęć do obnażania się:

– Czy opowiadałem ci o moim ojcu?

Nawet nie czekał na odpowiedź i zaczął:

– Nie miałem z nim najlepszych stosunków. Nie był zadowolony z moich życiowych wyborów, a ja ze swej strony nie robiłem nic, żeby to zmienić. Ta wzajemna wrogość była dla mnie wygodna. Kiedy

zachorował, zostawił dom w Aleksandrii i zamieszkał z nami w Kairze. Miał raka krtani i nie mógł mówić. Musiał pisać, o co mu chodzi. Rozumiał, ale nie mógł dużo mówić. Odkryłem, że nie pamiętam, jaki miał głos, zanim zachorował. Moja pamięć słuchowa w jego przypadku szwankowała. Wynik biopsji z jego krtani miałem w kieszeni i chodziłem z nim po szpitalach, żeby ktoś mi to zanalizował i powiedział, jaki to rodzaj guza. W ostatnie dni opiekowałem się nim, myłem mu tyłek, wycierałem i ubierałem. Nie bałem się. Był świadomy i śmiał się. Kilka miesięcy po jego śmierci urodziła się moja córka – nią też się opiekowałem i myłem, tak jak opiekowałem się nim i jak myłem jego. Żona była przerażona, nie chciała go dotykać, bała się jego kruchości. Ja chwytałem go niczym kurczaka. Kiedy umarł, uświadomiłem sobie, w jakiej gorączce żyłem w ostatnim czasie. Działalem, nie myśląc i bez żadnego uczucia. Kiedy umarł, zacząłem się zastanawiać nad bolesnymi stosunkami, jakie nas łączyły. Odtwarzałem je w pamięci, żeby zrozumieć – od dzieciństwa aż do końca. Omal nie zwariowałem. Dzięki Bogu właśnie wtedy urodziła się moja córeczka.

Zamilkł i spojrzał szybko na zegarek, jakby opowieść nie jego dotyczyła. To sygnał końca przedstawienia. Uśmiechnął się do mnie szeroko, stukając palcem w klawiaturę i koncentrując się na pracy. Podniósł głowę dopiero około dwóch godzin później.

Pracowaliśmy we dwójkę w dziale tłumaczeń w Centrum Dialogu Cywilizacji: Abbas i ja. Gdybym miała możliwość wyboru, nikogo innego bym nie wybrała spośród pracowników naszego Centrum. Zaczął tu pracować wiele lat przede mną. Był jedynym tłumaczem. Kiedy przybyło roboty i nagromadziło się dużo pracy, doszłam ja i teraz jest nas dwójka. Bez wstępów zawarliśmy sojusz. Bez problemów odstąpił mi swoje biurko przy oknie, przejmując biurko naprzeciwko. My, dwójka tłumaczy amatorów po kursach i ciężkich przejściach zawodowych. Studiował fizykę i nigdy nie pracował w tym zawodzie. Dlaczego? Bo interesowała go głównie literatura. Dlaczego studiował fizykę? Żeby zadowolić rodzinę. Ja z wyboru studiowałam arabistykę. Znalazłam pracę w dziale tłumaczeń i nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby zadowalać rodzinę.

Gdyby nie Abbas, ta ciężka praca przychodziłaby mi trudniej. Ciężka praca? „Przynajmniej wygodna. Nie męczy się ani dusza, ani

ciało. Akurat na nasze możliwości” – mówił mi i śmialiśmy się razem. „Gdybyśmy żyli w naszym kraju, nie musielibyśmy znosić tego gnoju”. Powtarzał tę swoją sentencję dwadzieścia razy dziennie. Czasem odpowiadałam mu: „To czemu nie wrócisz do kraju? Możesz przecież pojechać tam w każdej chwili i wrócić, kiedy zechcesz. Jesteś tu z wyboru. Inni nie mają takiego szczęścia”.

Patrzy na mnie długo i nie odpowiada, lecz rozpoczyna kolejną opowieść.

Abbas odwiedza Egipt raz do roku i wysyła swoje dzieci na letnie miesiące do rodziny swej żony do Kairu. Mówi mi: „To najlepszy sposób, żeby dobrze nauczyły się arabskiego. Widzę wyraźne postępy po każdym powrocie”. Nie on jeden tak robi. To zwyczaj rozpowszechniony wśród większości jego kolegów i koleżanek z Centrum. Ja nie mam tej możliwości, dlatego mój syn mówi po arabsku jak orientalista. Czy możesz swoim dzieciom podarować ojczyznę, która nie jest twoja?

To dawne czasy.

„Hazar to dobry materiał. Ma dobre stanowisko w gazecie. Powiedz jej, żeby zapisała się do partii, i niech przyjdzie do mnie”. Mój przyjaciel ucieszył się ze słów redaktora naczelnego. Przyszedł, przekazując mi dobrą nowinę. „Gratuluję, sprawy idą lepiej. Jeśli tylko wstąpisz do partii, stanowisko jest twoje”. Kiedy zobaczył moją reakcję, zaczął mnie przekonywać:

– Dlaczego komplikujesz sprawę? Jeden podpis i wszystko załatwione. Wszyscy teraz tak robią.

On sam zrobił to, jeszcze zanim przyjechał ze swojego miasta na studia do Damaszku. Wyjaśnił mi, że tylko tak można sobie coś załatwić, że to normalne i że kto chce coś osiągnąć, musi dostosować się do panujących zasad.

Rzeczywiście, po co komplikuję tak prostą sprawę? Syn naszej sąsiadki, inżynier, który skończył studia w tym samym roku co ja, podporządkował się zasadom bez dyskusji:

– Zapisuję się do partii i dostaję stypendium zagraniczne. Najważniejsze, żeby zdobyć doświadczenie, a nie ma innej możliwości.

Zrealizował swój plan: zapisał się do partii, dostał stypendium i wyjechał. Ja tego nie zrobiłam. Ani stypendium, ani pracy. Bez nazwiska na listach partii rządzącej nie ma zdobyczy rewolucyjnych.

Nie masz praw, ale możesz dostawać wyróżnienia. Chciałam swoich praw. Domagałam się swoich praw. Tylko moich praw.

Ojciec, który śledził wszystkie moje ruchy z daleka, powiedział mi w końcu:

– Nie bądź głupia. Nie dostaniesz stypendium zagranicznego, choćbyś spełniała wszystkie wyobrażalne warunki. Najważniejsze są znajomości. Złożyłaś do dziś trzy aplikacje. Czy sądzisz, że kiedyś będziesz coś z tego miała? Pomyśl i szukaj innego rozwiązania.

Mama wtórowała mu:

– Wszystkie drzwi są przed tobą zamknięte. Nawet to, że jesteś wybitna, na nic się nie zda. Najlepiej wyjedź.

Smutek to jedna z radości?

Wysłuchasz się w ciemne wołanie, zostawisz wszystko i wyjedziesz? Zostawisz funkcje, nagrody, stypendia, partie, prawa, znajomości, rejestry nazwisk, przyspieszone kroki, koncesje, historie, geografię i wyjedziesz?

To dawne czasy.

Za każdym razem, kiedy Abbas wraca z Egiptu, opowiada o coraz większej ruinie. Widzi to na własne oczy, dotyka własnymi dłońmi. Opowieści z życia codziennego nie mają końca. Ja nie jeździłam do kraju i nie opowiadałam po powrocie o postępującej ruinie. Nawet nie mam do tego prawa. Ja, która w ogóle nie mam wyobraźni, wyobrażam sobie czasem mój kraj. Muszę się zadowolić wyjazdami do innych krajów arabskich. To nie namiastka, nie szukam namiastki. Namiastka przychodzi sama. Namiastka zajmuje miejsce, ponieważ świat nie zna pustki, jak nas uczono. Ani natura, ani ojczyzna, ani moje krótkie życie, ani moje ciało.

„Z pewnością poczuję się zagubiony bez swojej pracy” – mówił amerykański fotografik. A ja mówię: „Bez swojej pracy i bez Abbasa”.

Przez okienną szybę widzę przed sobą Paryż taki jak na pocztówkach. To jest teraz moje miasto. Tu mieszkam już dłużej niż w rodzinnym mieście. Wybrałam je, przyjechałam tu i żyłam świadoma, że mogę stąd wyjechać, kiedy będę chciała.

To miasto mnie nie więzi.

Czy moje rodzinne miasto mnie więziło?

Czy moja rodzima opowieść mnie więziła?

To dawne czasy.

CZY SMAK OJCZYZNY ZAMIENIA SIĘ W SANDAŁ?

„Ojczyzny nie buduje się korespondencyjnie”.

Dokładnie to zdanie wypowiedział Dżafar, kiedy poinformowałam go, że niedługo przyjadę. Chcę zbudować samą siebie. Już jako mała dziewczynka chciałam zbudować samą siebie. Chcę wybrać własne życie.

Dzielił nas tylko mały stolik przysunięty do ściany w damasceńskiej kawiarni Al-Modern w dzielnicy Al-Maliki, zaprojektowanej jakby specjalnie na spotkania kochanków. Siedzą wokół nas przy innych stolikach, a my przycupnęliśmy w umówionym miejscu, w jednym z kątów kwadratowej sali.

– Jedziesz teraz, w tym okropnym czasie?

W takim kraju jak mój zawsze jest okropny czas. Żyłam tylko w okropnych czasach. Myślałam i nie jadłam.

– Ojczyzna cię potrzebuje. Potrzebuje takich jak ty – naciskał Dżafar.

– Dlaczego myślisz o tym, czego potrzebuje ojczyzna, a nie o tym, czego ja potrzebuję?

– A jakie ty masz potrzeby? – pyta ze złością, a ja uparcie wzruszam ramionami i nie odpowiadam.

Nie on jeden przypominał mi o tym, że ojczyzna mnie potrzebuje. Słowa te powtarzały się jak refren w pieśni wzywającej do boju, jakby były tajnym hasłem, na które wszyscy się umówili. Czułam się zmuszana, ale jednak wiedziałam, że powinnam pojechać. Byłam wśród nich, ale w końcu pojechałam i koniec sprawy. Dlaczego wszyscy chcą mi podcinać skrzydła imieniem ojczyzny?

Kluczył długo, zanim wypowiedział to od dawna odkładane zdanie, na które czekałam. Wiedziałam doskonale, że rzuci mi je w twarz niczym policzek. Miałam świadomość, że wszystkie poprzednie pytania były wprowadzeniem do tego i krążyły wokół owego pytania:

– A ja?

Znów wzruszam lekceważąco i uparcie ramionami, nic więcej nie mówiąc.

Czuję, że jego gniew rośnie. Faluje i rozpada się w sobie, jakby miał mi to wykrzyczeć w twarz. Ale nie, wreszcie zbiera się w sobie i pyta:

– Tak po prostu?

– Nie. To wcale nie jest proste. – Jak zwykle próbuję grać.

– Uciekasz.

– Być może.

Uciekam się świadomie do zasady, że najdoskonalszą twarzą jest maska:

– Doskonale wiesz, że wyjazd po to, aby kontynuować studia, mam w planach od dawna.

Czy mogę mu powiedzieć, że się duszę? Że nie mogę tu dłużej żyć? Że ucieknę? Uciekłam.

Uciekłam? Od czego uciekłam? Nie znałam jednoznacznej odpowiedzi i wcale nie chciałam znać. Każdy pretekst jest dobry, kiedy chcesz zabrać walizkę i wyjechać.

Ojczyzna go potrzebuje? Ojczyzna ich potrzebuje?

Ojczyzna mnie nie potrzebuje?

Uciekam. Wyjeżdżam.

Dżafar został, żeby po wielu, wielu latach umrzeć tam na raka.

MAM W USTACH BOSKI MIÓD

Nazywa mnie niemową.

Widok moich narodzin bez jednego słowa był inspiracją dla jego wyobraźni. Ciągłe opowiadał to z nowymi szczegółami. Opowiadał tę historię innym i mnie:

– Bóg chciał cię stworzyć niemową. Ukształtował cię i uformował tak, żebyś urodziła się niemową. W ostatniej chwili, kiedy mył ręce z gliny, z której cię ulepił, jego serce zmiękło, ulitował się nad tobą i szybkim ruchem otworzył ci usta, rozwiązując węzeł twojego języka. Nie, nie rozwiązał go całkowicie. Uwolnił go na tyle tylko, żebyś mogła powiedzieć mniej niż mało, tyle, nie więcej. Żebyś choć kilka słów mogła wypowiedzieć w ten dziwny sposób, ugniatając je jak ciasto. Ty nie mówisz, tylko bełkoczesz. Wiesz, co to bełkot? Poszukaj tego słowa w słowniku *Lisan al-Arab – Język Arabów*, jak to zwykle czynisz. Tym razem oszczędzę ci trudu: bełkot to zniekształcanie mowy, kiedy dźwięki nie są wypowiedane w sposób wyraźny, a język się płacze. Nie ma sensu, żebyś uczyła się jasnej i wyraźnej wymowy. Przykra sprawa. Tak. Możesz milczeć godzinami, ponieważ nie masz potrzeby mówienia, nie jest to dla ciebie koniecznością. Potrzebujesz słuchać. Potrzebujesz milczenia.

Opowiadał, jakby był wtedy u boku Boga. Jakby obserwował dzieło stworzenia od początku do końca. On opowiada, a ja się śmieję – on upewnia się, że jestem niemową. Wymieniłam artykułowane dźwięki na śmiech.

Czy przychodzi mu na myśl, że dzieje połykanych słów tamują moją krtań i każą milczeć moim strunom głosowym?

Czy przychodzi mu na myśl, że śmiech to jest mój ratunek?

Gdybym mówiła, być może by uciekł.

Jazid mówi mi czasem:

– Powiedz coś, a zapłacę ci.

– Ile za słowo? – pytam, zanim zacznę kontynuować. – Mówią, że mężczyźni płacą kobietom, żeby zamilkły. Pierwszy raz w życiu widzę mężczyznę, który płaci kobiecie, żeby mówiła.

Nie byłam niemową. Wprost przeciwnie, mój język był biczem – mogą o tym zaświadczyć wszyscy, a jako pierwszy mój ojciec, który w mojej obecności mówił do matki: „Twoja córka nie mówi dużo, ale kiedy otworzy usta... o, Panie... niech Bóg nas ma w swej opiece! Język

krótki, ale cięty. Mężczyźni tego nie zniosą. Twoja córka rozwiedzie się siedemnaście razy. Zabierz ją ode mnie, uwierz mi, nie wytrzyma tego żaden mężczyzna na świecie. Zobacysz. Przyszłość pokaże, że mam rację. Nie zniesie jej żaden mężczyzna”. Słuchałam tego z ciekawością, a krew w żyłach szybciej mi krążyła, kiedy liczyłam w myślach: siedemnaście rozwodów to siedemnaście małżeństw, to siedemnastu mężczyzn. To piękna wróżba na przyszłość i bardzo chciałam w nią wierzyć. Powtarzam ją w myślach i rozsmakowuję się w niej.

Zdaje się, że zawiodłam nadzieje mojego ojca i nie urzeczywistniłam jego przewidywań.

Hilmi, student z Egiptu, który przyjechał do Paryża, żeby wyspecjalizować się w wytapianiu żelaza, i siedział z nami w kawiarni na placu Sorbony, powiedział w mojej obecności do Jazida, radząc mu:

– Zostaw ją. Jest stworzona z suchego języka i mózgu. Niech Bóg ma cię w swej opiece, bracie.

W jaki sposób tak od razu odkrył tajemnicę? Razem śmialiśmy się z niego, potwierdzając jego wnioski.

Mój język to bicz? Być może to prawda.

Mam krótki język? W żadnym wypadku. Nigdy z własnej woli nie kończyłam opowieści. To równoległy wewnętrzny dyskurs. Zawsze funkcjonuje w trakcie tworzenia moich opowieści, które opowiadam samej sobie, słuchając innych.

Z pewnością milczenie naszło mnie wcześniej. Kiedy byłam dzieckiem, lekarz, który wrócił do kraju z Francji, powiedział mi po wieczornym spotkaniu z sąsiadami: „To prawda, Bóg dał nam dwoje uszu i jedno usta, abyśmy słuchali więcej, niż mówili, ale mowa jest konieczna”. „Nawet gdybyśmy nie mieli nic do powiedzenia?” – pomyślałam i odpowiedziałam z uśmiechem, nie dziękując za poradę.

Byłam mała i milczenie nie było wtedy niczym strasznym. Młody lekarz zalecał się do mojej starszej siostry, która stała obok mnie. Bez wątplenia moje milczenie pasowało do sytuacji i dlatego nie dał porady aż do rana. Być może sądził, że miałam pilnować siostry. W rzeczywistości pilnowałam wszystkich: patrzyłam, słuchałam, rejestrowałam i niemal wymyślałam opowieści, chowając je w tajnej kieszeni niczym kangurzyca.

Kiedy jest nas dużo, miska znika. Wszyscy prześcigają się w gadaniu, natomiast nikt nie chce słuchać. Kiedy liczba ludzi spada

jedynie do dwóch, a wśród nich jestem ja, zakochana, milczenie może przekształcić się w problem.

Dżafar krzyczał: „Odezwij się, na Boga! Nie zniosę tego milczenia”. I nagle zapytał: „O czym myślisz?”. Jego pytanie staje mi w gardle jak ość i szybko odpowiadam: „O niczym”. Jego nerwy naprężają się coraz bardziej, ale moja odpowiedź się nie zmienia.

Zamilkłam, bo musiał znosić wyznania innych, a ja lubiłam słuchać ich wyznań. Myślałam czasem, że jeden z moich dziadów musiał być księdzem albo katem i po nim odziedziczyłam geny słuchania z zainteresowaniem. Urodziłam się, żeby kochać albo udawać, że kocham, żeby poklepywać słowa, które chcą być miłe, albo żeby klaskać im z przesadnym zachwytem.

Później moje serce zaczęło gnić od problemów innych. Nauczyłam się przekłętej mowy. Ćwiczyłam się metodycznie przez wiele lat, tak jak przygotowywałam się do długich tras, aby w końcu zwyczajem przekroczyć linię mety. Natura nie pokona natury, chyba że z mężczyznami, których kocham. Z nimi czuję, że jestem zmuszona do powiedzenia prawdy, ale nie chcę jej powiedzieć. Wracam do dawnego milczenia, a oni walą głowami w mur. Podoba mi się ta zabawa i powtarzam ją raz po raz, bez żadnego wysiłku, zawsze stojąc na skraju niebezpieczeństwa.

PRZECIWKO ODYSOWI, SINDBADOWI, SYNOWI MARNOTRAWNEMU, E.T., IBN BATTUCIE² I ROBINSONOWI CRUSOE

Kiedy wrócił, był wyraźnie rozbity.

– Byłem u Jahji w hotelu. Pozwolili mu wyjechać dla podratowania zdrowia. Jasne, to już koniec. Nic. Dlatego go wypuścili. Żaden z nas nie odważył się zapytać o cokolwiek i on też nic nie powiedział. Ograniczył się do praktycznych pytań o procedury zapisu do szpitala i o lekarza. Nie widziałem go od wyjazdu, przeraziłem się jego stanem. Szesnaście lat w więzieniu, a teraz rak.

Opowiadał, a ja byłem jakby gdzie indziej. Nie pokazuje swego gniewu, ja usiłuję go nie zauważać, stojąc przed nim nieruchoma, bez słowa. Wiem, że słowa nie są skierowane do mnie. Słyszę imię Jahja, pojawiające się między urywanymi zdaniami a ruchami mej głowy.

Jahja? Nie widziałam go nigdy w życiu. W Damaszku go nie znałam. Był przyjacielem Jazida, ciągle o nim opowiadał. Znam go, choć go nie spotkałam, jak wszystkich tych, o których sądzimy, że ich znamy tylko dlatego, że słyszeliśmy o nich od innych ludzi. Wydaje się nam, że ich znamy, jak gdybyśmy żyli z nimi przez całe życie. Opowieści ich obu były częścią naszej wspólnej historii, którą przywraca i powtarza, aż zaczęłam je czasem kończyć zamiast niego, podśmiewając się z pradawnych przyjaciół.

Znam imiona dziewcząt, o które rywalizowali, tytuły książek, które czytali i o których dyskutowali, wiem, jak z siebie żartowali: z jasnej skóry Jahji i ciemnej Jazida, z zamożności Jahji i biedy Jazida, z kręconych włosów Jahji i długich Jazida. Wiem o sukcesach szkolnych, marzeniach i ambicjach, ulicach Al-Hasaki i ńędzy Ghuwajranu, codziennych naradach, o letnich kąpielach w wodach Chaburu. Znam te wszystkie opowieści, jak gdybym była zawsze trzecią wśród nich w tym dalekim mieście, którego nie widziałam na oczy.

– Miałem trochę fotografii. Zostały tam. Czy sądzisz, że moja rodzina je wyrzuciła? Musisz je zobaczyć. Powinienem je przywieźć.

Nie miałam potrzeby oglądać ich wspólnych zdjęć, żeby zrozumieć opowieść. Byli przyjaciółmi z dzieciństwa i młodości. Jako malcy w jednej ławce, jako dorośli w innych partiach. Partie te łączyło jedno: obie były nielegalne.

Jazid opuścił kraj tajnymi kanałami przez Bejrut po aresztowaniu

kilku jego współtowarzyszy, kiedy zbliżało się niebezpieczeństwo. Wiedział, że to droga bez powrotu, ale się nie zawahał. Został oskarżony i skazany zaocznie na więzienie. Jahja nie wyjechał pomimo niebezpieczeństwa, które zbliżało się wielkimi krokami. Więzienie, więzienie, więzienie, a teraz jest w Paryżu na leczeniu.

Zanim wyjechałam, znałam nazwę jednego, może dwóch więzień. Potem nauczyłam się ich wielu z opowieści, jakie stamtąd docierały. Nawet nazwy ośrodków turystycznych, do których jeździliśmy na wycieczki szkolne, przekształciły się w nazwy więzień.

– Na leczenie? Raczej na śmierć. Tak. Na śmierć. Gdybyś go zobaczyła, zrozumiałabyś, dlaczego go wypuścili. Żeby nie umarł w więzieniu. W ten sposób będą go mieć z głowy. – I dalej mówił: – A co ja zrobiłem? Ograniczyłem się do ucieczki i przyjechałem tu, żeby palić papieroski.

Epopeja jego podróży, jak nazywam ją kpiąco, to jedna z opowieści, które nie mają końca. Słuchałam jej i słuchałam, ale nie słyszałam, żeby tak mówił przedtem. Przestraszyłam się i zrozumiałam, że muszę rozpocząć zmasowany atak.

– Cóż możesz zrobić? Czy chcesz dla siebie takiego samego losu? Jaka jest korzyść z tego, że siedziałbyś w ich więzieniu? Nie rozumiem tej logiki. Pusta gadanina. To, że pozostałeś daleko od nich, to dowód, że nie jesteś przekonany. Ciągłe to powtarzasz. Gdybyś był przekonany do tego, co mówisz, wróciłbyś i poszedłbyś od razu do więzienia. Cóż łatwiejszego – wsiadasz do samolotu, aresztują cię na lotnisku i *ciao bello*.

Powróciły wyrzuty sumienia. Tak się dzieje od czasu do czasu. Przychodzą i odchodzą, w zależności od wiadomości stamtąd. Wyrzuty sumienia żywią się tęsknotą, która zatruwa jego życie, a ja naśmiewam się z niego. Każdej nocy śni o powrocie tam, ja zaś każdego dnia odrzucam tę myśl i naśmiewam się z niego. Nie chcę zrozumieć tego dziwnego, ciągłego, głęboko zakorzonego pragnienia powrotu w rodzinne strony. Odrzucam tę myśl każdego dnia i naśmiewam się z niego.

On tęskni coraz bardziej, a ja coraz bardziej się z niego naśmiewam.

ŻADNE ŹRÓDŁO NIE ZAPEŁNI MOICH ŻYŁ

Musiałam wyjechać z Damaszku, żeby zostać przeklętą obcą. Musiałam uzupełnić pierwotną obcość. Wstydliwą obcość, która nie chce się ujawniać. Nie dopełni się inaczej, jak tylko poprzez obcość ujawnioną na końcu świata: w innym kraju lub innym języku, w innym świetle i pod innym niebem.

Nie miałam tyle siły, żeby przeciwstawić się pokrętnej obcości.

Ukrytej rany nie uleczy się w inny sposób niż przez otwartą, bardziej krwawiącą ranę.

Musiałam wyjechać.

Musiałam wyjechać, żeby stać się obcą. Aby dotrzeć do tego przeklętego wabika, który sam mógłby przywrócić moje związki z „tam”. Teraz, kiedy jestem tylko „stąd”, mogę być „stamtąd”. Mogę być daleką, przychodzącą stamtąd. Mogę odważyć się na to, żeby „tu” poczuć to wszystko, co wiąże mnie z „tam”.

Musiałam wyjechać.

W moim domu w Damaszku mówiło się „szamijczycy”³ i „my”. Otwierałam oczy i słyszałam słowa, które powtarzali wszyscy w domu wokół mnie. Inni to shamijczycy. A my? Chciałam znaleźć odpowiedź, zbierając nitki opowieści. Jeśli ktoś mi zada to pierwsze pytanie, odpowiedź będzie automatyczna, nie zmieniła się od dzieciństwa po dziś dzień: Mój ojciec pochodzi z..., moja mama pochodzi z..., a ja urodziłam się w Damaszku. Odpowiadam, zaczynając od nich, a kończąc na sobie. Jakby istniała jakaś szczelina, a ja stałabym na linii pęknięcia. Odpowiadam, zaczynając od ich miast pochodzenia, a kończę na moim mieście. Jakbym uświadomiła sobie, że opowieść nie zaczyna się wraz ze mną. Nie starałam się znaleźć wyjaśnienia dla tego trójkąta. Nie starałam się zawrzeć go w jednym punkcie, w jednym kącie.

Odłam chrześcijański z Antiochii połączył się z odłamek muzułmańskim z Misjafu i ja pojawiłam się w Damaszku. Nie zjednoczyłam ich i nie wybrałam między nimi: wolałam zostać efektem połączenia tych odłamów i zamieszkałam w trzecim kącie.

Zawsze wiedziałam, że opowieść tkwi w sercu tego trójkąta, i dbałam o określone miejsce dla każdego z trzech kątów. Jakby za nim było urwisko, które rozciąga się przed nim po horyzont, a ja próbuję złapać równowagę, stojąc na ruchomych piaskach.

Inni to szamijczycy, a my wśród nich w naszym domu w Damaszku nie mówiliśmy tym samym dialektem, nie pielęnowaliśmy ich zwyczajów i obyczajów i nie...

Byliśmy obcy w mieście, w którym mieszkaliśmy.

Ja jestem obca w mieście, w którym się urodziłam.

Jak mogłam urodzić się w tym mieście i żyć w nim jako obca? To było pytanie, na które nie byłam w stanie odpowiedzieć, a przez to straciłam możliwość odpowiedzi na wszystkie inne. Pytania więzły mi w gardle i nie mogłam znaleźć żadnej odpowiedzi.

Decyzja o wyjeździe pojawiła się sama z siebie. Decyzja o wyjeździe wcześniej pojawiła się sama z siebie.

Próbuję odtworzyć chwilę, w której narodził się plan wyjazdu. Kopał stopniowo, powoli swój rów przez te lata, aż stał się częścią mojego życia. Próbuję, ale nitki się płaczą. Dlaczego ja wyjeżdżam, a oni zostają? Nie chcę dotrzeć do odpowiedzi. Nic mnie nie powstrzyma. Jedyne efekt popycha mnie do przodu, ciągnie do wyjazdu.

Jakby jakiś głos narodził się razem ze mną i nie próbowałam go oszukać. Nie próbowałam być głucha na jego wezwanie. Jakby ten głos zebrał wszystkie pytania i rzucił je za mną niczym wiatr, który popycha mnie w drogę ku krawędzi.

Żadne możliwe odpowiedzi nic nie zmieniają. Wsłuchuję się w wołanie i uświadamiam sobie tylko, że tu nie ma życia. Muszę wyjechać albo umrzeć. Rachunek jest prosty. To mnie przekonało.

Wybrałam życie daleko, uciekając od śmierci.

Wybrałam?

Istnieją słowa, do których się uciekamy, jakbyśmy rzucali się w paszczę wieloryba, żeby nie utonąć.

NIE MA DLA MNIE GROBU?

Oficer służb specjalnych, starając się być miły, rzekł z uśmiechem:

– W końcu powrócicie wszyscy. To naturalne, że teraz nie myśli pani o powrocie. Pracuje pani i żyje spokojnie. Ma pani doskonałe warunki, dlatego pozostaje pani na obczyźnie. Człowiek jednak nie potrafi żyć bez ojczyzny. Kiedyś, jak pani się zestarzeje, przypomni sobie pani moje słowa. W końcu zmuszeni do tego powrócicie. Macie tylko tę ojczyznę. Co zrobicie tam, w obcym kraju, kiedy posuniecie się w latach i pójdziecie na emerytury? Nic.

Opowiada o powrocie, jakby bawił się przede mną pętlą, która czeka na mnie, bez względu na to, kiedy przyjadę, żeby owinać mi się wokół szyi.

– Wróćcie, aby tam być pochowani. Wróćcie wszyscy – powtarzał z naciskiem i z pełnym przekonaniem.

Ojczyzna jako grób?

Czy odważę się mu powiedzieć, że był taki, który chciał wrócić jako martwy, ale mu nie pozwoliliście?

Czy odważę się mu powiedzieć, że nie pozwolili przewieźć ciała Afifa, który zachorował i zmarł w Paryżu, aby pochować je w Hauranie, tak jak tego sobie życzył w testamencie?

Nie odważyłam się i nie powiedziałam.

Wiem, że nie wrócę – ani żywa, ani martwa. Daruję sobie ten dyskomfort. Zapiszę w testamencie, żeby spalili moje ciało i niech Bóg będzie łaskaw uciekinierom.

Nie mam ojczyzny.

Nie mam grobu.

Mówi:

– Nie ma pani od siedemnastu lat. Nie znamy pani. Możemy uwierzyć we wszystko, co o pani mówią. Mogę sobie wyobrazić na przykład, że jest pani poszukiwana. Teraz panią poznaliśmy i za każdym razem, kiedy rozmawiamy, coraz bardziej panią poznajemy. Oby pani nie znikła na następnych siedemnaście lat.

Byłam w jego wspnianym biurze na wysokim piętrze. Za plecami miałam damasceńskie niebo. Za szybą była moja cienka teczka i gruba teczka Jazida na odległość ręki. Sięgnął do nich, przewrócił kilka stron, przeczytał parę linijek i pokiwał głową w niejasny sposób,

zanim wrócił do rozmowy. Uśmiecham się, spoglądając na portrety wiszące na ścianie za jego plecami, i także kiwam głową, zgadzając się z jego przepowiedniami.

 Nie mam grobu.

 Moje prochy rozwieje wiatr.

JEDNOŚĆ, WOLNOŚĆ...⁴

Miałam chyba siedem lat. Rodzina wróciła z przyjęcia i nie znalazła mnie w domu. Wszyscy wywracali świat do góry nogami, żeby mnie znaleźć, ale bez skutku. Matka ciężko oddychała, ojciec tracił cierpliwość, moi bracia wymieniali między sobą pokątne spojrzenia, a siostry bladły i jękały się, słysząc ojcowski krzyk. Znalazł mnie wreszcie śpiącą pod wielkim łóżkiem. Rozłożyłam jak trzeba prześcieradło, poduszkę i koc i zasnęłam. To z opowieści, jakie rodziny przekazują sobie o dziwnych wydarzeniach, które zaszły w ich domach. Nikt nie rozumiał, dlaczego wybrałam właśnie miejsce pod łóżkiem, żeby położyć się spać. Śmiałam się razem z nimi, wiedziałam jednak, że sprawa nie jest taka prosta i że od tego czasu szukałam miejsca jak najdalej od nich. Byłam dzieckiem i pragnęłam tylko jak najczęściej być sama.

Dlaczego chciałam być sama?

Samotność była moim marzeniem. Jeśli w życiu ciągle przebywasz z innymi – z przymusu, nie z wyboru – samotność staje się niespełnionym marzeniem. Żyjesz w licznej rodzinie, a przyszedłeś na świat późno, kiedy nie było już wolnych pokoi. Starsi podpisali do tej pory wszystkie powierzchnie swoimi imionami, a ty uczysz się żyć, stojąc na jednej nodze. Każdy kawałek przestrzeni staje się dla ciebie rajem i każde miejsce w łóżku jest wygodne. Wyobrażasz sobie miejsca, w których nikt cię nie widzi: za kanapą, w szafie, pod łóżkiem. Ławka zawalona rzeczami, których nikt teraz nie potrzebuje, staje się królestwem, którego nie zamieniłbyś na żadne skarby świata.

Być może pragnienie wyjazdu i jego uzasadnienie było właśnie urzeczywistnieniem tamtego pragnienia samotności. Możesz być sam, tylko będąc daleko. Jediną możliwością realizacji twojego celu jest wyjazd jak najdalej. Jediną gwarancją jest całkowite oddalenie. Żeby zbliżenie się do ciebie było trudne, żebyś był poza zasięgiem ręki, wzroku, kieszeni.

Pragnienie podróży to pragnienie bycia samemu. Problem w tym, że po wyjeździe niedługo pozostaniesz sam. Twoje życie szybko zapelni się innymi. Otworzysz przed nimi swoje przestrzenie, aby je zajęli. Zaakceptujesz ich, bo ich wybrałeś, ale wybór ten wkrótce powoli przekształci się w obowiązek. Od obowiązku narzuconego ci do obowiązku, który wybierzesz, będą mijać dni, kiedy będziesz szukał

samotności.

Już jako mała dziewczynka obiecałam sobie, że będę żyć tak, jak chcę, z dala od tego, co ktoś chce mi narzucić. Wolałam, żeby mój pociąg wypadł z szyn, niż żeby jechał w kierunku, który być może wskazali inni. Żadnego społeczeństwa, żadnej klasy społecznej, żadnej rodziny, żadnej partii – nie, nie, nie...

Moje życie należy do mnie, do mnie należy mój los aż do ostatniego punktu.

Do ostatniego punktu?

MOJE CIAŁO NIE MA HISTORII

Nigdy dotąd tak nie mówił. Przestraszyłam się.

Tak powiedziałam do Jazida i do innych. Rzekłam głośno i wyraźnie: To moja ostateczna decyzja – nie wracam. Nie ma tam dla mnie miejsca i wybieram samą siebie. Nie chcę żyć codziennie wśród krwawej, bezsensownej wojny, która doprowadzić mnie może tylko do bezwzględnego zniszczenia: więzienia albo samobójstwa. Świadomie wybrałam trzecią możliwość. Czy wybrałam drogę tchórza? Być może, ale to był świadomy wybór. Jak to mówią: lepiej być sto razy tchórzem, niż raz leżeć w trumnie. Bez filozofii, bez poszukiwania uzasadnień, bez wymysłów. Po prostu: wolę żyć, niż umrzeć.

Sądziłam, że rozwiązaniem jest żyć z dala od tego wszystkiego, co może obciążyć moje dni, noce i decyzje. Rozwiązaniem było oddalić się od wszystkiego, co może stanąć mi na drodze, nawet gdyby było ułudą, jak miłość. Chciałam otworzyć oczy w dalekim mieście, w którym nikogo nie znam i gdzie nikt mnie nie zna. Wiedziałam, że to zrobię. Byłam pewna, że cud wydarzy się sam, bez mojego udziału. Z radością wyciągnęłam dłoń, a džinnijja⁵ zabrała mnie do dalekiego miasta, abym tam żyła tak, jak chcę.

Wierzyłam w to, a niektóre przekonania stają się rzeczywistością.

ŚMIERĆ ROZSYPUJE SIĘ NICZYM WIŚNIE

Żyję z jej duchem.

Tam, daleko, przez siedemnaście lat żyłam z jej duchem. Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy po długiej nieobecności, nie poznałam jej. Ta kobieta nie przypominała mi matki, towarzyszki mojego życia. Tej, której pachy wachałam i której opowiadałam, co wydarzyło się w mijającym dniu, gdy byłam dzieckiem. Nie znam tej kobiety. Ta chora, zniszczona kobieta porusza się wolno po damasceńskim domu i nie zna mnie.

Siedziałam na kanapie naprzeciwko otwartych drzwi, kiedy przeszła korytarzem. Kilka kroków w ciemnym korytarzu oświetlonym tylko światłem z pokoju. Kilka kroków powolnych niczym klatki filmowe puszczane w zwolnionym tempie. Kim jest ta kobieta, która z wyraźnym wysiłkiem przemierza tę małą odległość? Gdzie podziała się ta śniada kobieta, pewnie stawiająca kroki, podnosząca wysoko stopy nad ziemią? Gdzie podziała się ta niepokorna kobieta, która mnie kochała i którą ja kochałam? Skąd się wzięła ta poszarzała staruszka w domowych kapciach, która nawet na mnie nie patrzy? Nie przypomina kobiety, którą znałam, której zapachu szukałam i której opowiadałam, co się wydarzyło.

Gdzie ta kobieta, którą zostawiłam w Damaszku siedemnaście lat temu?

Kto porwał moją matkę i podstawił tu tę staruszkę?

Kto zabrał mi matkę i podstawił tu tę staruszkę?

Ta kobieta mnie nie zna.

Nie znam tej kobiety.

Tak było za pierwszym razem, po siedemnastu latach nieobecności. Widziałam matkę w naszym damasceńskim domu i zastanawiałam się: gdzie jest moja mama?

Czy ta pomarszczona, wysuszona kobieta to moja mama?

Za drugim razem to też nie była moja matka. Leżała w tym samym łóżku, w tym samym dużym pokoju z oknami wychodzącymi na ulicę, w tym samym naszym damasceńskim domu. Moja starsza siostra pochylała się nad nią, żeby ją trochę unieść i poprawić jej poduszkę pod plecami. Mówiła do niej prostymi zdaniami, stonowanym głosem, jakby zwracała się do małej dziewczynki.

Czy to moja mama?

Siostra powiedziała do niej: „Przyjechała Hazar z Paryża, żeby się z tobą zobaczyć”. Pocałowałam ją i odezwałam się do niej. „Gdzie twój mąż?” – zapytała. „Nie przyjechał ze mną” – odparłam. Więcej nic już nie wyjaśniałam. Nie byłam pewna, czy pytanie rzeczywiście skierowane było do mnie. Znam dobrze moją matkę. Znam ją najlepiej z całego rodzeństwa. Znam najlepiej zapach jej pach spośród całego rodzeństwa. Ja, która znam ją tak dobrze, wiem, że teraz mnie nie widzi. Moja siostra powtarza, jakby zwracała się do małej dziewczynki: „Mamo, to Hazar, przyjechała, żeby cię zobaczyć, to Hazar”. Siedziałam na brzegu jej łóżka, trzymając ją za rękę i całując delikatnie, ale będąc jednocześnie daleko, a w mojej głowie dźwięczało zdanie: Ta kobieta nie jest moją matką.

Zbieramy się wszyscy, którzy jeszcze zostali tutaj, w sąsiednim pokoju, trzymając drzwi otwarte. Rozmawiamy i rozmawiamy, a ona leży tam na łóżku w pokoju z oknami wychodzącymi na ulicę. Czy nas słyszy? Drzwi są otwarte, żebyśmy mogli zareagować szybko na jakikolwiek ruch, jakikolwiek głos, jakikolwiek gest. Moja siostra opowiada o fatalnym zdrowiu mamy, o tym, że tlen nie dociera do mózgu. Mówi o tym, używając medycznej terminologii, która w jej ustach brzmi naturalnie. Widać, że opowiada o tym nie po raz pierwszy. Mówi na okrągło, żeby nie nazwać tej choroby, którą wszyscy znamy, choć o niej nic nie wiemy, jakby bała się, że kto wypowie to słowo, do tego przyklei się ono na zawsze. Słucham jednym uchem, a drugim wsłuchuję się w ruchy w sąsiednim pokoju. Drzwi są cały czas otwarte, a ona cały czas w swoim łóżku. Drzwi są otwarte cały czas. Nie ma już żadnej intymności – wszyscy ją obserwujemy.

Ta kobieta nie jest moją matką.

Żyłam z jej duchem. To był mój największy błąd. Ona była moją pierwszą miłością. Żyję z nią i nią. Ileż razy umierała u mojego boku na obczyźnie, a na koniec mnie nie poznała i umarła w Damaszku, daleko ode mnie.

DZIURAWA OPOWIEŚĆ

Radzi się kobietom, żeby wzbudzały zazdrość mężczyzn, aby zachować bogate życie uczuciowe, dalekie od codziennej, rujnującej rutyny.

Intuicyjnie stosowałam tę zasadę, zanim ją poznałam, i nikogo nie prosiłam o radę. Nigdy nie mógł być ze mną spokojny, dlatego nigdy nie spakowałam walizek i nigdy nie musiałam mu tym grozić.

Jazid to zrobił.

– To ty tego pilnowałaś – powiedział.

– Nie mogę. Rozpoczęłam nową pracę nie dalej jak rok temu. Nie chcę sobie niszczyć wszystkiego przez drugie dziecko – odpowiedziałam.

Czy powiedzieć mu, że nie chcę drugiego dziecka? Nie jestem teraz gotowa na przyjście drugiego dziecka. Nie jestem w stanie. Nic nie powiedziałam. Wymówki zawodowe są lepsze. Lepiej pominąć sprawy osobiste i chwycić się spraw zawodowych. To zawsze bezpieczniejsze albo tak mi się wydawało.

Rozpoczęła się wojna domowa i nie skończyła się. Każdego dnia bitwa. Kiedy wróciłam od lekarza po ciężkiej operacji, spojrzał na mnie z nienawistnym okrucieństwem i nie rzekł ani słowa. Spał dalej na kanapie, nie zdając sobie sprawy z mojej obecności. Żyliśmy w jednym domu jak obcy sobie ludzie, unikając się wzajemnie.

– Przyjąłem propozycję firmy, żeby pojechać do pracy w nowej filii – oznajmił.

Przygotował swój wyjazd, podzieliliśmy szczegółowo obowiązki, jakbyśmy byli spółką akcyjną. On wpadł w złość, ja też kilka razy z powodu jakichś codziennych bzdur, ale żadne z nas nie zająknęło się nawet co do najbliższych planów. Jakby nigdy nic nas nie łączyło i jakby nie miało być naszej przyszłości.

W dniu wyjazdu bez słowa wyszłam rano do pracy. Wiedziałam, że jak wrócę, jego już nie będzie, ale nic nie powiedziałam. Byliśmy podobni do siebie. Lekceważyliśmy rany i zaciskaliśmy zęby.

Kiedy wyjechał Jazid?

Od kiedy zostałam tutaj, żyłam dalej, udając, że nic się nie stało i że jego wyjazd był konieczny, a ja nie mogłam z nim teraz pojechać z powodu pracy, szkoły dziecka i mieszkania... Może za jakiś czas będę mogła pojechać.

Z początku liczyłam dni. Potem przyzwyczałam się i przestałam liczyć. Nie jestem więźniarką i nie ma nikogo, kto liczyłby od tyłu.

Nie wróci.

A czy ja chcę, żeby wrócił?

Przyzwyczałam się do jego nieobecności, tak jak przyzwyczałam się, że był. Ułożyłam sobie codzienne sprawy w domu i w pracy. Z dzieckiem i studentką, która przychodzi do nas, żeby zostawać z nim i pomagać mu odrabiać lekcje. Po miesiącu zamieszania i wewnętrznego płaczu wszystko się ułożyło. Oczy wyschły wyjątkowo szybko. Nie mogłam sobie pozwolić, żeby narzekać i skarżyć się, bo nikt nie wiedział, co naprawdę się stało. I nikt nie może tego wiedzieć. Opowieść jest pełna dziur. Oficjalna opowieść pełna jest dziur wypełnionych tym, co zaakceptuje społeczeństwo, a nie prawdą. Opowieść dla ludzi zmusiła mnie do grania roli, do której się przyzwyczałam i która zbliżyła się do prawdy. Prawie sobie wierzę, kiedy powtarzam po raz kolejny te kłamstwa młodszej siostrze w listach albo przyjaciółce w pracy lub sąsiadom.

Kiedy zapytałam Juliette Greco o jej młodzieńczą próbę samobójczą, powiedziałam jej, że sądziłam, iż nasze małe dzieci trzymają nas niczym namiotowe kołki, żebyśmy nie odlecieli. Odpowiedziała mi jasno: „W chwilach takich jak te nie myślimy o nikim, nawet o naszych dzieciach. Pragnienie śmierci jest ważniejsze i silniejsze niż cokolwiek innego w naszym życiu”.

Ja należę do ludzi, którzy nie popełnią samobójstwa.

Nie szukam wolności, którą trudno uchwycić, ale próbuję żyć, pomimo codziennych lub historycznych przeszkód. Bez względu na wojny domowe. Bez względu na to, że na każdym kroku spotykam kogoś, kto chce mnie upokorzyć. Mój okrutny upór chowa się za pozorną giętkością i obiecującymi uśmiechami oraz niezauważalnym spojrzeniem.

WYJEŹDŹAM OKRYTA TAJEMNICĄ

Buduję sobie nowe kraje, mam do tego prawo większe niż inni.
Buduję je na swoją miarę. Na miarę mojego oddalenia. Buduję je słowami. To wszystko, co mam.

Czy smak ojczyzny przekształci się w sandał?

To było pytanie, na które od razu znałam odpowiedź.

Rzekł Sindbad: „Byłem najszcześniejszym z ludzi, dopóki któregoś dnia nie przyszło mi do głowy, żeby wyruszyć w świat, a moja dusza zatęskniła do...”. Ja nie byłam najszcześniejszą z ludzi, kiedy przyszło mi do głowy wyruszyć w świat. Było mi ciasno i nie byłam zadowolona z tego, co miałam. Życie mnie uwierało, niczym zbyt ciasne buty, które ograniczają ruchy i nawet nie pozwalają myśleć.

Sindbad wyjechał i przeżył swoje liczne przygody, po czym powrócił stęskniony i bogatszy o swoje doświadczenia. Wyjeżdżał, powracał i znów wyjeżdżał. Siedem razy. Siedem podróży.

„Dziękuję Bogu za tę podróż, którą będę przez całe życie wspominał, opowiadając o niej, a nie tworząc ją tylko w wyobraźni” – rzekł Sindbad po swej siódmej podróży, w której spędził dwadzieścia siedem lat. Po tej siódmej podróży, kiedy już się zestarzał. Odtąd pozostał w swoim mieście, ale dalej rozkoszował się, wspominając swoje wojaże i opowiadając o nich, tak jak rozkoszujemy się imieniem ukochanego. Wypełnił przestrzenie podróży opowieściami o podróżach. Polował na ludzi, gościł ich i karmił, żeby snuć swoje opowieści. Pozostawanie w miejscu przekształciło się w poszukiwanie chętnych do słuchania o podróżach. Podczas podróży pragnął powrócić, powróciwszy, tęsknił do podróży. Tęsknotę do ojczyzny leczył powrotem, tęsknotę do podróży – opowieściami.

Po każdej podróży Bóg obdarzał Sindbada nowym życiem.

Działo się to w czasach *Tysiąca i jednej nocy*. W naszych czasach Sindbad ma tylko jedno życie, dlatego może wyjechać, ale już nie powróci.

Wyjechałam i nie wróciłam. Swoją historię opowiadam najpierw sobie. Opowiadam ją z daleka od miejsca, które oddaliło się ode mnie, a może ja oddaliłam się od niego.

Co za różnica – na jedno wychodzi.

Od miejsca, które oddaliło się ode mnie i do którego nie myślę wracać. Czy opowieść jest dla mnie lekarstwem? Nie jest lekarstwem

na moją nostalgię ani antidotum na moją obcość.

Być może moja opowieść stanie się zaklęciem dla krajów, które sobie wymarzyłam, ale jeszcze do nich nie dotarłam.

DOBRCZE MI W CZERWONYM

– Nasze pokolenie to pokolenie klęski⁶.

Sana ciągle powtarzała to zdanie, powtarzała je i uczyniła z niego rodzaj hasła. Pasowało jako odpowiedź na każde pytanie. Stało się naszym powiedzonkiem i musieliśmy do niego wracać z pełną powagą, choć podśmiewaliśmy się z niego za każdym razem.

Pokolenie klęski?

– Jakie pokolenie? Ile masz lat? – pytałam ją.

– Jesteśmy w tym samym wieku – odpowiadała uparcie.

– Byliśmy w tym samym wieku – odpowiadałam ze złością, czekając na przekleństwo.

Dysponowała największym słownikiem przekleństw, jaki słyszałam w życiu – część z nich, jak sądzę, sama wymyśliła. Zaiste, była artystką w samotnych rebeliach.

Byliśmy z tego samego pokolenia, ale ja nie czułam klęski. Ja nie poniosłam klęski. Dlaczego chcą mi narzucić to poczucie? Dlaczego chcą, żebyśmy wszyscy ją czuli?

Kłęska pokolenia?

Nie przeżywałam tych uczuć. Z pewnością więc cierpię na brak poczucia wspólnotowości, jak określiła Sana mój chory upór. Podkreślałam raz jeszcze: ja nie poniosłam klęski. Kłęska jest sprawą osobistą, a ja jeszcze nie skończyłam swojej wojny.

Czy to rodzaj oporu, nawet jeśli jest on śmiechem z samej siebie i zdradą wobec niej?

Czy to radość i zwycięstwo radości? Czy to szczęście idiotów, jak mówi o nim Abd Allah, zastanawiając się nad jego źródłami, w porównaniu z wieczną rozpaczą? Śmieję się i odpowiadam, że szczęście jest cielesne albo nie. Wszystko inne to szczegóły. A on coraz bardziej marszczy brwi.

Nie kłamałam, ale moja odpowiedź, jak zwykle, tylko częściowo była prawdą. Kłamałam w związku z okrucieństwem prawdy, a inni musieli mi uwierzyć.

Ja nie poniosłam klęski. Czekają mnie wojny, czekają mnie klęski i być może ustępstwa. Dlaczego chcą narzucić mi klęski w wojnach, w których nie brałam udziału?

Ich klęski nie zakuły mnie w kajdany. Nie zniewoliły mojej świadomości. Wobec życia byłam niczym słomka na wietrze i być

może ta lekkość była moją siłą.

KTO UMRZE O ŚWICIE?

Rozwiązanie było dla mnie ucieczką od wiecznego bólu głowy, podobnego do tego, jaki odczuwał Jazid. Migrena była piekłem jego życia, nie można było jej uleczyć. Podobnie jak ja, on też zna lekarstwo, ale lekarz leczy i leczy tutaj, a lekarstwo jest tam. Ja mam własną czarodziejską miksturę: wymieszałam stary syryjski gęsty arak z wodami świata arabskiego od Oceanu do Zatoki, dokładnie, jak to określają Arabowie: od wody do wody. A każdy kraj arabski jest moją ojczyzną.

Samooszukiwanie?

A dlaczego nie?

Istnieją kłamstwa konieczne do tego, żeby żyć. Żebyśmy mogli iść dalej. Codzienne kłamstwa i kłamstwa historyczne. Wszystkie są konieczne, żebyśmy byli w stanie otworzyć każdego dnia oczy, odetchnąć pełną piersią i spojrzeć na słońce, nawet gdy go nie ma, i żyć dalej. Z dala.

Ojczyzna? Powiedziałam: ojczyzna? To jest słowo, którego tutaj nauczyłam się wystrzegać. Używam innych słów, metafor, synekdoch, eufemizmów. Wszystkiego innego niż ono. Tutaj używają go tylko agenci. Znamy każdego z nich. Oni też nas znają: pojechałam do ojczyzny i przybyłam z ojczyzny. Przyszedł do mnie list z ojczyzny. Zadzwoiłam do ojczyzny i zadzwonili do mnie z ojczyzny. Spotkałam kogoś w ojczyźnie i widziałam kogoś w ojczyźnie. Sprzedałam w ojczyźnie i kupiłam w ojczyźnie; wysłałam do ojczyzny i dostałam z ojczyzny. Tam nawet telefony mają sygnały z hymnem narodowym.

Ojczyzna jest ich ojczyzną. Ojczyzna jest dla nich. Ojczyzna jest ich własnością. Ojczyzna wypełnia ich usta. Nie zrzekliśmy się jej na ich rzecz, ale oni plują nią w nasze twarze i zabijają nas nią. Oddychamy jej zgnilizną, która upija nas we wszystkich historiach, których nie opowiedzieli: Jahja zachorował w więzieniu na raka. Nie ma żadnych wiadomości od Fajiza. Abd al-Hadi z dyplomem medycyny z Sorbony ma zakaz nauczania na uniwersytecie i wykonywania zawodu – sprzedaje warzywa w pobliskim sklepiku. Su'ad była przesłuchiwana – tak chcieli wychować ją i innych, bo powiedziała coś, czego nie można mówić na prywatnych spotkaniach. Z początku znaleźmy bohaterów opowieści, potem pojawiły się nowe imiona, o których wcześniej nie słyszeliśmy, i one zajęły miejsce w

opowieściach docierających stamtąd. Przyszły po nas nowe pokolenia i zostały tam – rodzą się nowe niekończące się historie. On próbuje biec za nimi, zdyszany, a ja obserwuję skomplikowany obraz i stawiam sobie coraz więcej pytań.

Wyjechałam? To najlepsze, co w życiu zrobiłam.

Wyjechałam? Tak, zrobiłam to, i nie wrócę.

Opowieści docierały do nas jedna po drugiej. Opowieści o ich ojczyźnie.

On coraz bardziej tęskni, ja coraz bardziej się oddalam.

PRZECIWKO ODYSOWI

Samolot zniża się nad wyspą. Prawdziwą wyspą – wszystkie jej wejścia i wyjścia znam doskonale. Wyspa z rzymskim mostem wiążącym ją z pustynią. To nie wyspa Sindbada, która była tylko pływającym na środku morza wielkim wielorybem, na którego nawiało piasku, i dzięki temu stał się wyspą. I choć dawno wyrosły na niej drzewa, to gdybyś zrobił tam ognisko, poczułaby ciepło, poruszyła się i wrzuciła cię do wody.

To prawdziwa wyspa, na której zatrzymał się Odys, i niewiele brakowało, żeby nie wrócił.

W taksówce z lotniska do hotelu kierowca zapytał:

– Arabka? Z jakiego kraju? Szczęść Boże! Syryjczycy to najlepsi ludzie, Al-Asad jest najlepszym z ludzi. To odważny kraj.

To samo o ruchu oporu, Palestynie, Hamasie, Hezbollahu i innych. Niedawno z listy spadł Saddam. On też był jednym z wysławianych.

Słucham z przyklejonym do twarzy uśmiechem i automatycznie kiwam głową, co może wyglądać na to, że się zgadzam. Jak urzędnik niskiego szczebla, który pokornie klaszcze po przemówieniu swojego szefa. Przekształcam się w człowieka automat. Nie mam siły przeciwstawić się wielkiemu zachwytowi nad walczącym krajem i jego bohaterskim wodzem. Minął jakiś czas, a opowieść się nie zmieniła. Zmienił się wódz, ale nie zmieniło się nazwisko. Syn po ojcu. Niech żyje kraj, niech żyje republika!

Któż jest w stanie otwarcie przeciwstawić się temu zachwytowi?

Ja nie próbowałam. Nawet przez chwilę nie pomyślałam, żeby mu powiedzieć: nie znasz opowieści, które znam ja, nie znasz Jahji i Abd al-Hadiego i... Nie znasz.

Przenika mnie gorycz i nie otwieram ust. Czy to lekcja, której nauczyliśmy się w dzieciństwie i wyssaliśmy z mlekiem matki wraz ze strachem? Każdy, kto próbuje wciągnąć cię w rozmowę o polityce, to szpieg – musisz się go strzec. Albo zamilcz, albo zacznij wychwalać wszystko – to najlepszy sposób, żeby się zamknął. On zawsze szuka pretekstu do raportu i lepiej, żebyś nie był jego tematem. Nie rozmawiaj z nim, chyba że o samych sukcesach. Jeśli nie – zamilcz.

Niewielkie miałam doświadczenia ze służbami specjalnymi. Milczę instynktownie, nikt nie musi mnie ostrzegać. Milczę, bo

rozmawiam tylko z samą sobą. Mówię do niej: Córeczko, to jest twoja ojczyzna, ona nie należy do nich. Oni przeminą, zatopieni w pustych słowach. Ten kraj jest twoim krajem, a jego mieszkańcy to twoi bliscy. Wysławiają go, bo wysławiają swój kraj, a nie na odwrót. Milczę więc i kiwam potakująco głową.

Z balkonu mojego pokoju wychodzącego na ogród nie widzę morza. Widzę drzewa palmowe. Ogromny palmowy pień zasłania okno. Widok wydaje się dziwny. Przyglądam mu się dokładnie i odkrywam, że to nie jedna ogromna palma, lecz trzy palmy rosnące blisko siebie, jakby przytulone. Ogrodnik w słomianym kapeluszu z Dzarby krząta się wokół nich. Sam jeden wśród całej tej zieleni. Ludzie schowali się w pokojach – zarówno ci, którzy mieszkają tu dłużej, jak i przejezdni, jak ja, goście na tej arabskiej wyspie.

Ci, którzy tu mieszkają, to emeryci – „miejscowi”. Poznasz ich od razu. Zachowują się jak u siebie w domu. Ubrani poza hotelem w swobodne stroje sportowe – krótkie spodnie i wpuszczone w nie lekkie koszule. Emeryci przyjeżdżają z zimnych europejskich państw, żeby spędzić jesień i zimę w hotelach słonecznych krajów Południa. Więcej kobiet niż mężczyzn. Te proporcje sprawiają, że widok jest bardzo dziwny.

Wszyscy przygotowani są doskonale na wyjaśnienie swoich wyborów z niezwykłą dokładnością buchaltera, gdy ich o to wścibsko zapytać. Ja potrzebuję trzech albo czterech małych filiżanek herbaty, żeby wpaść rano w odpowiedni nastrój, a oni wymachują mi przed nosem ogromnymi kolorowymi kubkami, które przywieźli ze sobą. To znak rozpoznawczy „miejscowych”. Mówię im „dzień dobry”, słucham ich opowieści, kiwam głową i uśmiecham się miło. Odpowiadam na uprzejme pytania w skrócie, który pasuje i mnie, i im. Życzę im miłego spaceru, żegnam ich podniesioną dłonią i wracam do swoich papierów.

Kiedy przeczytałam w wierszu René Chara wyrażenie „prawo powrotu”, wyjaśniłam je bez odniesienia do miłości. Prawo kochanka, który domaga się tego wobec mnie? Prawo powrotu Palestyńczyków? Moje prawo do powrotu? Kochanek wrócił do mnie ze słowami poety na ustach, Palestyńczycy żądają swojego prawa, a ja?

Nie żądam i nie będę żądać.

Chcę ustanowienia prawa do nie-powrotu, aby zostawić w spokoju Sindbada, Odysa i nawet E.T. Niech będą pozostawieni w

spokoju wszyscy ci, którzy przeżyli swoją nieobecność, dźwigając ciężar powrotu. Długo ich nie było, pokonali wszystkie pokusy pozostania i powrócili. Dlaczego? Nie rozumiem.

Gdyby rozum odrywał mnie od mojej ojczyzny, przyciągałaby mnie do niego moja dusza – dlaczego? Nie rozumiem. Ale nauczyliśmy się tego jako dzieci, a jako dorośli musimy to realizować. Ja zostanę przy rozumie, a dusza mnie nie przyciągnie. Zostanę, choćby w piekle, i mojej duszy nic do tego. Koniec, kropka. Dlaczego mam zniszczyć sobie życie, gdziekolwiek bym była, tą przymusową, idiotyczną nostalgią? Nikt nie odpowiada. Same odpowiedzi są pytaniami.

Dlaczego mam akceptować mękę i codzienną tyranię oraz historyczną śmierć z miłości do ojczyzny? Czy dlatego, że ojczyzna mnie potrzebuje, jak powiedział Dżafar? Gdyby mnie potrzebowała, nie zamknęłaby mi drzwi przed nosem. Gdyby mnie potrzebowała, pozwoliłaby mi oddychać bez strachu. Gdyby. Gdyby...

Chcę ustanowienia prawa do nie-powrotu.

Dlaczego mam wracać? Dlaczego muszę zamknąć krąg? Od punktu narodzin do punktu śmierci linia powinna stworzyć okrąg. Linia powinna się zamknąć niczym wąż połykający własny ogon.

POWIĄZANY LOKAMI NOCY

Po siedemnastu latach nieobecności zapragnęłam wrócić. Na krótko, przy okazji, jaka nadarzyła się sama. Arabskie Centrum Dialogu Cywilizacji zorganizowało wyjazd dla dziennikarzy francuskich, aby poznali chrześcijański aspekt kultury arabskiej. Poproszono mnie, żebym poprowadziła dziennikarzy, bo byłam jedyną osobą w Centrum, która mogła to zrobić – tak przynajmniej twierdził dyrektor:

– Wiem, że to nie należy do pani obowiązków, ale ta wycieczka jest bardzo ważna dla Centrum w obecnym czasie i musi się to udać. Była pani dziennikarką i rozumie pani, o co chodzi. Nie mogę wysłać nikogo innego z tymi cudzoziemcami. To pani kraj i zna go pani doskonale. Jeśli pojawi się jakiś problem, pani będzie wiedzieć, jak go rozwiązać. Podróż jest jednym z punktów umowy z tamtejszym ministerstwem. Proszę się nie bać, francuski paszport panią chroni, nikt pani nie tknie, bo jest pani członkiem oficjalnej delegacji. Proszę pamiętać, że to okazja dla pani, żeby odwiedzić rodzinę po wszystkich tych latach.

To ostatnie zdanie powiedział ze współczuciem i zrozumieniem, jakby rzucał karmę głodnej rybie. Urzędnicy zawsze współczują, kiedy chodzi o ich głowy. Czyż mogłam odmówić?

Nie chciałam odmówić. Otworzyłam usta i chwyciłam karmę jak wygłodniała ryba.

Było to po ataku na Irak. W autobusie, który woził nas po kraju, rysowałam sobie w głowie całą mapę. Pragnęłam wyobrazić sobie jakieś obrazy. W torebce miałam aparat fotograficzny, ale go nie używałam. W wyobraźni otwierałam album ze zdjęciami, które wkrótce zostaną podarte, z pomnikami, które niedługo zostaną zburzone. Z miasta do miasta – widziałam je, liczyłam i układałam na użytek przyszłości. Przed Bagdadem nie chcieliśmy nawet o tym myśleć. Po Bagdadzie zaczęliśmy mówić „być może”. Może my już tej chwili nie dożyjemy, ale z pewnością się zbliża. Pocieszamy samych siebie tym, co nastąpi w przyszłości. Tymi, którzy nadejdą po nas. Będą żyły nasze dzieci. Po nas będą żyły pokolenia, ale to bez wątpienia nadejdzie.

Jakby ta konieczność była podstępny pocieszeniem.

Przeżyją to nasze dzieci? Nawet gdyby mój syn mówił jak orientalista?

NAWET NIE BĘDZIE MOICH PROCHÓW W BUTELCE

Kiedyś, dawno temu, połknęłam kilka tabletek. Nie chciałam umrzeć. Nie połknęłam ich wystarczająco dużo. Próba samobójcza była tylko głupią zabawą. Połknęłam tabletki i położyłam się na łóżku.

Spojrzał na mnie, pochylił się i zapytał:

– Co ci jest?

Odpowiedziałam: – Połknęłam tabletki.

Rzucił się na mnie. Zaciągnął mnie za rękę do łazienki i włożył mi palce do gardła, żebym zwymiotowała.

– Jak dawno? Jak dawno? – pytał ciągle.

Nie mogłam mówić i cała zawartość mojego żołądka znalazła się na posadzce.

– Wariatka, wariatka – powtarzał monotannie.

Wariatka? Wiedziałam, że myślałam logicznie i jasno i że to jedyny sposób, żeby powstrzymać wojnę. Szalona wojna może być powstrzymana tylko przez szalone rozwiązanie.

Sana spytała:

– Co spowodowało tę wojnę?

– Już zapomniałam – odpowiedziałam ze śmiechem.

Nie zapomniałam. To była opowieść o zazdrości.

Przyszedł do akademika bez zapowiedzi i nie zastał mnie.

Czekał, aż wrócę – to było chyba około drugiej nad ranem. Kiedy tak czekał, wybuchły wszystkie płomienie wojny. Kiedy mnie ujrzał, mógł już tylko rozpocząć ostrzał na wszystkich frontach. Niemożliwa jest rozmowa ze snajperem, który pragnie cię trafić, a ty patrzysz na niego i chcesz mu wyjaśnić powód, dla którego znalazłeś się właśnie w tym miejscu.

Tylko ten jeden raz zrobiłam ten krok. Pół kroku, ale pragnienie śmierci pozostało ukryte w zakamarkach duszy. Czasem wyciągało szyję głosem smutku, tak jak żmija wysuwa się z koszyka indyjskiego zaklinacza węży i porusza się falująco, choć jest głucha.

Czytam Cesare Pavese i reaguję na jego czysto cielesne słowa. Jak przed miłością, albo zaraz po niej. Krew odpływa, opuszcza moje żyły. Blednę. Kolana mi się trzęsą, wysycha ślina w ustach. Nie, to bardziej czekanie na miłość niż odpoczynek po niej. Jak gdybym czekała na mężczyznę, do którego tęsknię – to spada na mnie od czasu do czasu. Zaczynam czytać jego dzienniki od końca: ostatnia strona,

osiemnasty sierpnia. Popelił samobójstwo dwudziestego siódmego sierpnia. Dziewięć dni minęło między tym a słowami, które napisał po podjęciu decyzji. Dwadzieścia tabletek nasennych połknął w pokoju w hotelu Roma w swym rodzinnym mieście, Turynie. Miał czterdzieści dwa lata. Puszczam taśmę od tyłu – jakbym oglądała film od końca. Próbuję powrócić do dni niepewności, do dni głębokiego smutku, zwykłej nieobecności, do niestałej obecności. Próbuję zrozumieć tę, która szuka nieszczęśliwego ciała.

Czy należę do tych, którzy nie popełniają samobójstw?

Kiedy pewien poeta dowiedział się, że Edward Said zapisał w testamencie, żeby nie grzebać jego ciała, lecz je spalić, przez chwilę kiwał głową z wrażenia i zachwytu, powtarzając: „Niezwykły człowiek... Niezwykły”.

Nie rozumiałam. Śmierć nie jest straszna i to, co po śmierci, nie jest straszne. Cóż może obchodzić owcę, że zostanie spalona po zarżnięciu?

Śmierć nie jest pytaniem. Czy będzie odpowiedzią?

Umrę i nie zostanie po mnie nawet popiół. Nie zmienię się nawet w mrówkę. Nie pójdę do nieba, do piekła też nie ani do czyśćca. Jestem zwolenniczką teorii „pssit” na temat śmierci. Palcem naciśniesz na dozownik sprayu – rozprysnie się i nie pozostanie nic, nic. Nic, nic nie pozostanie ze mnie. Ani wcześniej, ani później. Nie ma metempsychozy ani innego życia, zmartwychwstania ani zmartwychwstałych. Nic. Czy to nazywają nicością?

Po śmierci Adnana zebrali się jego przyjaciele. Nie musiał popełniać samobójstwa. Zmarł nagle na atak serca. Większość z nas nie widziała go od lat. Każdy zajęty był swoimi małymi sprawami. Lata komórki partyjnej wydają się dalekie. Każdy z obecnych zaczął wspominać zalety zmarłego, ktoś nawet napisał wiersz na tę okazję. Ja, milcząc, tylko ich słuchałam. Gdyby Adnan słyszał wszystkie te panegiryki i widział te uczucia, nie chciałby umierać. Dlaczego ludzie czekają na śmierć, żeby pokazać, jak nas kochają? Być może kochają nas właśnie w tym momencie, bo są już pewni, że mają z nami spokój. Nic nie powiedziałam. Pomyślałam tylko, że nie chcę, żeby po śmierci ktoś opiewał moje cnoty. Zakażę tego wszystkim, nawet moim kochankom. Napiszę wyraźny, jasny testament: Zakaz opłakiwania mnie po śmierci.

KARMELKI

Rankiem w metrze naprzeciwko mnie siedziała staruszka, jedząc karmelki. Jadła te klejące, straszliwie słodkie cukierki, z którymi nawet dzieci ledwie dają sobie radę, choć miała tylko kilka poczeriałych zębów. Powoli odwijała kolorowy papierek i powoli wkładała mały krążek do ust. Naprzeciwko mnie. Przekręcała kilka razy w ustach i ssała, jakby to był kawałek czekolady. Ja zaś obserwowałam wszystko, wlepiając w nią wzrok. Zauważyła to, ale nie przestała ssać z lubością. Wyobrażałam sobie, że resztki jej zębów przykleją się do lepkiego cukierka i jej usta zostaną całkowicie ich pozbawione. Jak wtedy nazwą jej usta? Jej usta staną się bezzębne. Wyobrażałam sobie, jak nagle połyka swoje zęby wraz z karmelkiem. Czekałam, aż otworzy usta, żeby zobaczyć jej gołe, czerwone dziąsła. Ssała i ssała, a ja ją obserwowałam.

Muszę wysiadać. To moja stacja. Saint Michele.

Nie poznam końca.

Nie poznam końca opowieści? Mogę ją wymyślić. Sfałszować. Jej zęby nie wypadną. Wyrosną im korzenie z karmelków i wrosną mocno w swoje miejsca. Znów będzie młoda i uwodzicielska, spotka George'a Clooneya, któremu poczerneją włosy, rzuci swoje ogromne bagaże, a wraz z nimi całą niebieską kulę ziemską. Chwyci ją za rękę i któregoś jesiennego dnia w deszczu pojedą we dwoje na Bliski Wschód i przyślą mi stamtąd wspólne fotografie. Jedna z nich będzie czarno-biała, jak zdjęcie ślubne moich rodziców z kościoła w Antiochii, a drugie kolorowe, jak moje zdjęcie z Paryża, gdy uśmiecham się do Jazida i innych przyjaciół.

Czyż to nie koniec? A może to początek...

MASZ PIĘKNE OCZY

To ten sam dom, do którego ją zabrał, by zamieszkała z jego rodzicami. Wyrwam, nie bez trudu, jeden dzień ze swego pobytu w Damaszku, pod pretekstem, że będę fotografować twierdzę Masyaf. Odwiedzam ciotkę w jej dawnym domu. Należał do mojego dziadka, gdy przyjechała tam moja mama, młoda i urzeczona, w ramionach ukochanego. Chciałam odnaleźć jej wspomnienie, przechadzając się po okolicy, która prawie się nie zmieniła. Matka szła pod rękę z ukochanym Josephem poślubionym w kościele. Zostawiła swoje miasto i rodziców. Zabrał ją daleko; znalazła się tutaj, wśród ludzi, którzy zwracali się do jej małżonka innym imieniem i rzucali na nią spojrzenia ciężkie od nienawiści. Kim była ta obca, którą ich syn poślubił daleko od nich i którą sprowadził na stałe? Kim była ta obca, różniąca się od nich pod każdym względem? Kim była ta obca, której imienia nie potrafili nawet wymówić?

Widzę ją wśród nich, jakbym z nią była. Jakbym była z nią wśród nich, wśród tych pytających spojrzeń, zaciśniętych ust i jadowitych słów. Nienawidzili jej. Opowiadała nam o tym. Nienawidzili jej, a ona rozpaczliwie chwyciła się każdego argumentu, by nie uciec.

– Gdybym nie była w ciąży, uciekłabym już pierwszego dnia – opowiadała nam.

Młoda chrześcijańska małżonka, pochodząca z odległego miasta, postawiła stopę na szyickiej wsi i dopiero wtedy odkryła, że poślubiła muzułmanina. Obie strony przeżyły szok kulturowy w okresie, gdy dialog religii jeszcze nie istniał.

Ukrywał przed nią, że jest muzułmaninem. Sfalszował dokumenty. Zmienił nawet imię: Mohammed stał się Josephem. Matka opowiadała nam o tym oszustwie, a ojciec przypominał, milionowy raz, jak odpędził wszystkich zalotników, którzy kręcili się wokół tej ładnej brunetki; jak nakłonił księdza, za pomocą pieniędzy, by zatuszował jego kłamstwa wszelkiej maści, przymknął oczy na jego fałszywe dokumenty i udzielił im ślubu w kościele w Antiochii, w obecności rodziny panny młodej, jakby go znał od urodzenia.

– Była barmanką, kiedy twój ojciec poznał ją i zakochał się – powiedziała ciotka, streszczając historię miłości moich rodziców. Z pewnością nie użyła słowa „barmanka”, ale tak to sobie przetłumaczyłam. – Pracowała w barze swojego ojca. Wiesz, że

dziadek miał bar w Antiochii, a twoja mama mu pomagała.

Ciotka podkreśla słowo „bar”, dając do zrozumienia, że matka źle się prowadziła. Dziewczyna, która pracuje w barze, nawet należącym do ojca, musi być ladaczną, mówiąc wprost: dziwką. Ciotka nie mówi tego wprost, lecz to oczywisty sens jej słów.

Moja matka była barmanką?

Tłumaczę to natychmiast i mam chęć zatańczyć z radości. Pierwszy raz od lat słowo przypląwa do mnie jak syrena wyłaniająca się z morza. Historia jest coraz piękniejsza. Kto marzy o matce barmance? Słowo niesie w sobie wiele obrazów i fantazji, wspomnień z filmów i powieści. Zadymiony lokal, podchmieleni mężczyźni, szklaneczki napełniane i opróżniane, córka szefa, brunetka za barem, uśmiecha się i patrzy na mężczyzn swoimi czarnymi oczami. Cały scenariusz! Mój ojciec wchodzi do baru i ją dostrzega. Przychodzi co wieczór, żeby się z nią zobaczyć, zamawia coś do picia, a ona uśmiecha się do niego szerzej niż do innych klientów; patrzy na niego dłużej niż na pozostałych.

On miał na imię Mohammed, ona Victoria, ja urodziłam się w Damaszku i miałam wyjechać.

HEJ, WY DWAJ, STAŃCIE, ZAPŁACZMY⁷

W ostatnim akapicie jednego z opowiadań rosyjski pisarz Iwan Bunin pisze o tym, jak oficer nie może znaleźć swojej żony i uświadamia sobie, że jest zdradzany. Poszedł nad morze popływać, po czym ogolił się, nałożył czystą bieliznę i śnieżnobiały mundur. Zjadł śniadanie na dachu restauracji, wypił butelkę szampana i filiżankę kawy i spokojnie wypalił papierosa. Potem wrócił do swojego pokoju, wyciągnął się na kanapie i strzelił sobie w skronie z dwóch pistoletów.

Ten obraz wstrząsnął mną. Wstrząsnęła mną liczba podwójna. Wyobrażałam sobie oficera ze wzniesionymi ku skroniom rękami z pistoletami, które wystrzelą w jednym momencie z obu stron głowy. Jest coś przerażającego w tym obrazie. Nie widziałam czegoś takiego w żadnym filmie. Oczarowała mnie liczba podwójna, jest w tym jakaś pełna magii niejasność, która pobudza moją wyobraźnię. Zaczynam wędrować po holach, korytarzach i labiryntach, prowadzących do miejsca, gdzie drogi zawsze rozwidlają się w dwie strony. Staję na środku i nagle, przerażona, otwieram oczy.

Za każdym razem, kiedy opowiadam jakąś rodzinną opowieść, moja siostra woła:

– Jakbyś mieszkała z jakąś inną rodziną. Ja nic z tego nie pamiętam. Pewna jesteś, że wszystko było tak, jak mówisz?! – krzyczy i patrzy na mnie dziwnie, jakbym przybyła z jakiejś innej planety.

Jak może nie pamiętać podstawowych spraw naszego życia rodzinnego? Przecież urodziła się zaraz po mnie, w tym samym domu, w tej samej rodzinie. Nie pojmuję jej zapomnienia, ona zaś nie pojmuje, skąd ja znam te wszystkie historie. A jednak skłania się, żeby w nie uwierzyć, albo tylko udaje. Potem opowiada mi inne historie, których ja, mieszkając daleko, nie przeżyłam, jak gdyby mszcząc się za to, co ja opowiadałam. Śmiejemy się razem, grożąc sobie nawzajem, że ta druga będzie zwyciężczynią w pisaniu rodzinnej kroniki.

Kiedy opisałam niektóre wydarzenia z życia naszej rodziny, moja starsza siostra wykupiła wszystkie egzemplarze książki, jakie znalazła w księgarniach, i schowała w piwnicy naszego damasceńskiego domu. Przeczytała wszystko, co napisano o książce, nawet obelgi. Szczególnie obelgi. Teraz powtarza je przy mnie z satysfakcją, jakby mszcząc się na mnie.

Moja starsza siostra przysłuchuje mi się, a na jej twarzy widać

gniew i wątpliwość. Ona też nie rozumie, skąd wytryskują ze mnie te opowieści, ale w nie nie wierzy i niczego nie udaje. Nie opowiada też nic nowego, jak to czyni młodsza. Moje opowieści nigdy się nie wydarzyły. Nie było ich. Tak powtarza z uporem moja starsza siostra. Jednoznacznie pieczętuje moje opowieści i mnie pieczęcią kłamstwa. Wypuszcza je z rąk i podbija niczym balon, wcześniej umieszczając mnie w nim. Jestem wieczną kłamczuchą, nawet w roli widza, nawet kiedy byłam dzieckiem:

– Powinnaś zrobić to i to, a ty tylko się przyglądałaś, a teraz przyjeżdżasz, żeby opowiadać wymyślone historyjki. Nic dziwnego. Spędziłaś życie w domu, tylko obserwując i wymyślając opowiastki – ciągle to powtarza, trzęsąc się ze zdenerwowania.

Być może ma rację.

Być może tylko obserwowałam i wymyślałam te opowiastki.

Jakaż jest różnica między prawdziwą a wymyśloną opowiastką?

W prawdziwej opowieści moja starsza siostra nie jest jedna. Tu jest kłamstwo.

Prawdziwa opowieść?

Moja siostra to dwie siostry.

Moja siostra to dwie siostry. Prawdziwe bliźniaczki jednojajowe. Cud natury. Wodzę wzrokiem między obu egzemplarzami – jedna uzupełnia słowa drugiej bez najmniejszej przerwy, jakbym oglądała grających w tenisa, stojąc między nimi. To może być śmieszne lub przerażające. Być może rytm kieruje interpretacją, a to, co widzę i słyszę, to tylko złudzenie?

Prawda?

Dlaczego prawdę określa się zawsze jako gorzką?

Są dwie, a ja nie lubię liczby podwójnej, poza dawnymi poematami.

Zawsze skracam je do jednej. Stopiłam je ze sobą. Wyobrażam sobie, że tkwię pomiędzy dwiema kobietami, które dziobią mnie na zmianę, i dziękuję Bogu, że stworzył mnie pojedynczą, bez drugiego egzemplarza, i dalej skracam je do jednej. Przyzwyczaiałam się je skracać, nawet dla samej siebie. Z ich imion tworzę jedno, wstawiając w środek „i”. To może mniej dramatyczne, ale za to wygodne.

Który ze znaków Pana waszego odrzucacie?⁸

CZY ZNAŁAM INNĄ OJCZYZNĘ?

Kiedy po raz pierwszy przytulił mnie naga, usłyszałam jego głos: Zaprawdę, My daliśmy tobie obfitość!⁹

Zaprawdę, My daliśmy tobie obfitość?

Byliśmy we dwójkę w hotelu w tym arabskim nadmorskim mieście. Byliśmy we dwójkę, a ja zastanawiałam się, co pocznę z nim później, osaczona własnymi granicami, pytaniami, odpowiedziami i kolczastymi drutami. Wydusiłam zdanie, które pojawiło się niczym marid¹⁰ z otchłani mojego dzieciństwa, mojej historii, mojego języka. *Szabbajka labbajka* – „mówisz – masz”. Wyrastam z tego tekstu. Z jego urody, z jego objawienia. Jestem obiecany rajem, spełnionymi życzeniami, rajską rzeką obfitości z Koranu – Kausarem. Ja? Nie. My razem jesteście tym pięknem, obietnicami, rajami, wszystkimi wspaniałościami. Jestem darem, jestem tą, która jest obdarowywana, i sama jestem darem, i niech piekło pochłonie twoją nienawiść.

Zaprawdę, My daliśmy tobie obfitość?

Usłyszałam to, zadrżały moje ramiona i słowa stały się jakby uderzającą falą, która towarzyszyła mi od brzegu rozkoszy do głębi fal. Zachwiała się moja równowaga i nie miałam się już czego przytrzymać. Zabawy rozplynęły się w powietrzu, rozsypały się rachunki, plany i wszelkie zasady postępowania od początku do końca. Zatamowane rzeki, za którymi szukam schronienia. Wybuchły od tych słów, które wyłoniły się z głębi mojego języka, mojej historii, wszystkiego tego, co mnie ukształtowało. Rozplynęłam się. Pozostała tylko moja przepełniona kobiecość przeciwko temu obcemu mężczyźnie.

ODESZLI CI, KTÓRYCH KOCHAM

Na koniec każdej podróży Sindbad grzebie swoich towarzyszy i pozostaje sam. Nie muszę czekać na koniec, żeby to uczynić. Informacje o nich przychodzą stąd i stamtąd. Tu umierają na cierpienie oddalenia, tam z bólu bliskości. Dżafar umarł na raka. Usman na serce. Abd Allah na raka. Nabil na serce. Niewielki wybór. Z miłości do nich wymyśliłam dla siebie nowy powód, który ich połączy: umrę na raka serca.

Czy zapomniałam o tych, którzy znaleźli rozwiązanie w zapomnieniu?

Czy zapomniałam o tych, którzy znaleźli rozwiązanie w próbie zapomnienia i znikli w mrokach?

Początkowo nikt z nas nie dostrzegł niczego i niewielkie wahania w zachowaniu Adila i w jego słowach tłumaczyliśmy zmęczeniem. Błyskotliwy, żartobliwy, kochany Adil stał się nieznośny i każdą dyskusję przemieniał w kłótnię. Opowiadał o swoim ojcu, który zmarł ze smutku, i o chorej matce, która planowała wyprawę do Ammanu, żeby się z nim spotkać. I o siostrze, która założyła hidżab i wyszła za męża, o dzieciach brata, które kontaktują się z nim telefonicznie i chcą się z nim zobaczyć. Zostawił ich dziećmi, a oni stali się ojcami.

Adil najdłużej mieszka w Paryżu. Przyjechał przed nami wszystkimi i ogłosił, jak to mówił, otwarty opór i walkę. Miał palestyński paszport, później algierski, następnie jemeński, aż wreszcie ostatnio dostał paszport francuski, co bardzo ułatwiło mu życie. Paszport syryjski miał tylko na samym początku stypendium studenckiego w Paryżu, ale zaraz został mu odebrany. Był tu najwcześniej i znał każdego i każdą z nas. Z pełną szczerością wypowiadał się o wszystkich, zbywając wszystko śmiechem.

Był żonaty, potem się rozwodził, i z każdą żoną miał dziecko. Trzy żony, troje dzieci. Nienawidził swoich żon, a dzieci kochał korespondencyjnie. Wszyscy chłopcy mieszkali z matkami, on zaś mieszkał samotnie, próbując uczestniczyć z daleka w ich wychowaniu.

Kiedy ogłosił, że chce się rozwieść po raz trzeci, przyjaciele próbowali go namówić, żeby jednak został z tą trzecią, ale pozostał niewzruszony, bo przecież „nie mieszka z nią i z jej butami”.

Powiedział, że butów ma tyle co Imelda Marcos. Arka Noego dla butów. Atakują go w każdym miejscu domu: w sypialni, w kuchni, w

korytarzach, na balkonie i na parapetach okien. Ich liczba rośnie z dnia na dzień – najrozmaitszych modeli i kolorów, na każdą porę roku. Sandały, botki i czółenka na wysokich obcasach i na niższych. Modele włoskie, francuskie, amerykańskie, nawet egipskie.

– W końcu buty przekształciły się w koszmary wyłaniające się z każdego zakątka świata. Otwieram drzwi i boję się, że wyskoczą na mnie niczym węże. Wreszcie musiałem wybrać: albo ja, albo jej buty. Odejście było jedynym rozwiązaniem, aby odetchnąć głęboko od zagrożenia, jakie stanowiła armia jej zaborczych butów. – Adil opowiadał to poważnie, a my zanosiliśmy się śmiechem.

Adil zaczął się zmieniać, ale nikt z nas tego nie zauważył. Zaczął opowiadać o służbach specjalnych, które nachodzą go w dzień, żeby go aresztować i wyrzucić z domu, nachodzą go w nocy, grożąc, a on jest bezbronny i nic nie może im zrobić. Spoglądaliśmy na siebie kątem oka, ale nikt nie ośmielił się mu przerwać. Było jeszcze gorzej, gdy zaczęliśmy szeptać między sobą. Jeden opowiadał drugiemu, co widział. Jak zgubił drogę do metra, jak się przewrócił i jak nie poznał jednego ze swoich studentów, który przyszedł na konsultację. Adil przestał pracować i spotykać się z nami. Prawie go zapomnieliśmy, jak to zwykle bywa z tymi, którzy znikają.

Jego starsza córka powiedziała:

– Musieliśmy przenieść go do sanatorium, kiedy rozbił lustro i pokaleczył sobie ręce i twarz. Nie poznawał już swojego odbicia. Wydawało mu się, że jakiś obcy facet chce go zaatakować. Stał się niebezpieczny dla siebie i innych. Nie było innego wyjścia.

Zapisałiśmy adres sanatorium i godziny wizyt, obiecując córce, że odwiedzimy jej ojca, naszego dawnego przyjaciela. Ucieszyła się i powiedziała, że to na pewno sprawi mu radość i pomoże znieść tę nową sytuację. Obiecaliśmy jej solennie, pożegnaliśmy ją serdecznie i postanowiliśmy.

Jak długo Adil był w sanatorium?

Jazid od czasu do czasu mówił, że powinniśmy go odwiedzić, nawet gdyby miał już nas nie poznać. To wstyd. Nawet Abbas, który nie znał go osobiście, tylko z moich opowieści, pytał o niego, przypominał mi o nim i wypominał okrucieństwo mego serca.

Okrucieństwo mego serca? Ani na jeden dzień nie zapomniałam o Adilu. Jest częścią mojego życia. Inni tego nie rozumieją. Miara

miłości są dla nich odwiedziny. Czy odwiedzałam grób ojca albo matki?

Ani ja, ani Jazid nie odwiedziliśmy Adila.

Czy ktoś inny z przyjaciół go odwiedził?

TO NIE MAŁŻEŃSTWO

Artysta przekonywał świat, że jego żaglowiec nie jest żaglowcem, ja przekonywałam samą siebie, że małżeństwo nie jest małżeństwem. Przekonywałam samą siebie, że małżeństwo jest konieczne do tego, żeby się rozwieść. Muszę wyjść za mąż, żeby móc się rozwieść.

To nie małżeństwo?

Jeśli to nie małżeństwo, to skąd się weźmie rozwód? Wywracam problem do góry nogami, a nie odpowiadam na pytania, jak zwykle wikłając się we własne sprzeczności. Przed urzędnikiem stanu cywilnego z trójkolorową szarfą Republiki Francuskiej na piersi podpisuję cywilny akt ślubu. Jestem żoną? Muszę to zapisać, żeby najpierw w to uwierzyć, a potem, żeby dotarło do mojej świadomości. Tak. Muszę mieć męża, który obroni moją cześć przed moimi kochankami, jak mówił Alberto Moravia. Bardzo mi się spodobało to zdanie i stało się podstawowym motywem do złożenia podpisu na tym oficjalnym papierze.

Adil fotografuje nas, a mój uśmiech otacza Jazida i naszych przyjaciół. Potem Adil szybko biegnie, żeby stanąć obok nas i znaleźć się na zdjęciu. Kto później nosił ze sobą aparat?

Uświadamiam sobie, że w ogóle nie używam słowa mąż z zaimkiem dzierżawczym. Nie chcę posiadać ani męża, ani kochanka. Nie chcę posiadać nikogo. Posiadanie zawsze jest zwrotne. W ciągu tych wszystkich lat po podpisaniu aktu ślubu nie używałam tego słowa nawet w codziennej gadaninie. Być może mnie przerażało.

Powinam napisać list do ojca i poinformować go, że może zacząć odliczanie wstecz. Pozostało mi szesnaście podpisów, żeby dawna wróżba się spełniła.

W biurze ambasady wyjaśniam urzędnikowi, że urząd czternastej dzielnicy wymaga ode mnie kilku dokumentów koniecznych do uznania mojego ślubu cywilnego. Odmawia z urzędniczą powagą, argumentując, że robi to dla dobra mojego i moich przyszłych dzieci.

– Ślub cywilny nie jest zgodny z prawem syryjskim i pani dzieci w przyszłości będą traktowane jako nieślubne, zrodzone w grzechu – wyjaśnia mi to kilkakrotnie, szukając jeszcze innych słów, żebym dobrze zrozumiała.

W końcu zrozumiałam.

Nie dostałam potrzebnych dokumentów, bo urzędnik w ambasadzie lepiej ode mnie wie, co jest dla mnie dobre. Co jest dobre dla mnie i później dla moich dzieci. On po prostu chce uchronić mnie od upadku w bezprawie. Od upadku w hańbę. Od upadku w grzech.

Nie powiedziałam mu, że jestem wolna i mogę wybrać grzech oraz to, że moje dzieci zrodzą się w grzechu.

Nie powiedziałam mu, że jestem w ciąży i że ten, którego nazywa synem grzechu, istnieje w moim brzuchu już od trzech miesięcy.

Nie powiedziałam mu tego wszystkiego. Moje słowa równoległe pozostają w głowie, ukryte dobrze za niewieloma słowami, które wypowiadam na głos. Nie ma sensu rozmowa z głuchym. Zrozumiałam to już dawno. Intensywnie myślałam tylko, jak rozwiązać ten problem z dokumentami, których nie chciał mi wydać w trosce o moje dobro.

Moja babcia Małgorzata mówiła: „Jedno słowo za dużo może zabić”. Moja rozmowa z nim to byłyby słowa zbędne. On nie słuchał mnie ani ja nie słuchałam jego. Bez sensu. Muszę zanieść mu teczkę z dokumentami ślubu i mój brzuch, którego nie widać jeszcze gołym okiem, i dać sobie spokój z ambasadą, prawem i honorem rodziny.

– Dlaczego nie weźmie pani ślubu w ambasadzie? To rozwiązałyby wszystkie problemy – proponuje usłużnie.

Małżeństwo w ambasadzie jest ślubem pełnoprawnym, uznawanym w każdym miejscu.

Naprawdę jestem głupia. Czemu to proste rozwiązanie nie przyszło mi do głowy?

Urzędnik w ambasadzie ma rację: czemu nie wzięłam ślubu właśnie tam?

CZY ZOSTAŁAM STWORZONA JAKO ZWIERZĘ DOMOWE?

Pierwszego żółwia, była to samiczka, kupiłam w Tangerze od Sprzedawcy Zwierząt Domowych, jak było napisane na jego sklepiku na początku suku, niedaleko od kina Ar-Rif. Była jak ciężki kamień, siedząc z ponad dwudziestką rodzeństwa w metalowej klatce. Miała zamknięte oczy, choć to nie była zima. Wybrałam właśnie ją. Otworzyła oczy w Paryżu. Mieszkała z nami. W środkowym kwadracie na skorupie wypisaliśmy jej imię: Zulejka. Pewnego dnia wróciłam z pracy i zobaczyłam ją przed domem: rzuciła się z balkonu na czwartym piętrze. Miała potrzaskaną skorupę. Zabrałam ją na górę. Krwawiła; opatrzyłam ją, czym mogłam, ale już długo nie pożyła. Zmarła od ran.

Po samobójstwie pierwszej kupiłam drugą żółwicę od wędrownego handlarza na suku w Tunisie. Niósł ją z wieloma podobnymi w parcianym worku na plecach. Sięgnął do niego, wyciągnął pierwszego z brzegu żółwia i dał mi do ręki, wychwalając, jak to świetnie żyje się z żółwiem nawet w małym mieszkaniu. Samiczka była pogrążona w zimowym śnie, nie miała pojęcia o świecie zewnętrznym, co ułatwiło przewiezienie jej przez granicę samolotem. Włożyłam ją do małego pudełka z dziurkami do oddychania i umieściłam między innymi rzeczami. Nikt tego nie zauważył. Napisaliśmy jej imię, tak jak poprzednio, na środkowym kwadracie skorupy: Zulejka. Mieszkała z nami tylko kilka miesięcy. W lecie wykorzystała okazję, że drzwi były otwarte, i uciekła na ulicę. Wydawała się zadowolona ze swego żywota, jadłatrawę i spała, a mimo to wykorzystała chwilę naszej nieuwagi. Mój synek płakał, kiedy zauważył, że jej nie ma. Płakał tak przez kilka dni, potem zaczął przypominać sobie zabawne wydarzenia z jej życia, na przykład, jak bawiła się z kotem, jak stawała na wyciągniętych łapkach przy doniczce z kwiatami, jak chowała głowę, kiedy próbował jej dotknąć, albo jak podgryzała mu palce u nóg. Oglądał wciąż jej zdjęcia w różnych sytuacjach i raz po raz radośnie je komentował.

Smutek opowieści cieszył go.

Żółw zlekceważył nas i uciekł przez otwarte drzwi, a ja się ucieszyłam.

Nie będzie trzeciej Zulejki. Do trzech razy sztuka. Trzecia żółwica musiałaby już zostać na zawsze.

A TY POBUDZASZ DO ZŁEGO¹¹

Żyję, jakbym była gałęzią odciętą od drzewa.

Przede mną horyzonty bez końca. Żadnych nacisków i żadnego wobec nich oporu. Żadnej tyranii i żadnego wobec niej oporu. Uczyłam się, wyjeżdżałam, pracowałam, kochałam, wyszłam za mąż i pisałam, nie radząc się nikogo ani w dzieciństwie, ani kiedy dorosłam. Być może były to pożytki z urodzenia się w rodzinie bez korzeni. Bez zwyczajów. Bez tradycji. W rodzinie licznej, jeśli liczyć od końca, nie od początku.

W rodzinie tradycyjnej krąg podąża za kręgiem, bez końca: stryjowie i stryjenki, wujowie i ciotki, kuzyni ze strony ojca, kuzyni ze strony matki, krewni jednych i drugich, i tak dalej, i tak dalej. Wszyscy oni okrążają cię, oddychają twoim powietrzem i hamują twoje kroki.

W naszej rodzinie nawet nacisk pierwszego kręgu był niepełny, dziurawy. Jego nacisk stopniowo malał, krąg unosił się i zabierał ze sobą niczym balon. Nigdy nie podróżowałam balonem, ale wyobrażam sobie, że jeśli kiedyś to zrobię, to będę czuła się właśnie tak – jakbym się rozwiewała.

Wspaniałość tego lotu odkryłam z Saną pochodzącą z zakorzenionej rodziny aleppiańskiej. Nie mogła uczynić ani jednego kroku samodzielnie. Ostateczna decyzja należała zawsze do rodziny – poczynając od klasowej wycieczki, poprzez małżeństwo, a na wyjściu do kina kończąc. Sana była tylko wykonawczynią. Na lekcjach wychowania wojskowego w gimnazjum w Damaszku uczono nas regulaminu: wykonaj, potem się sprzeciwiaj. Ale Sana musiała wykonywać, nie miała prawa sprzeciwu. Jakby była przykuta łańcuchem do ściany celi.

Ugodowa ponad miarę. Powiedziałam jej to, próbując ją trochę zbuntować. Bezskutecznie. Jakby nacisk rodziny tworzył wokół niej ścianę, która uniemożliwiała jakąkolwiek próbę kontaktu ze światem zewnętrznym.

Kiedy przyszedł jej narzeczony, żeby poprosić o rękę, powiedzieli po prostu „nie”. Dlaczego? Bo pochodził z innego odłamu religijnego. To niemożliwe, żeby córka sunnickiej rodziny aleppiańskiej wyszła za mąż za alawitę gdzieś z wybrzeża, którego ojca nikt nie zna. Nawet jeśli miał wszelkie cechy najlepszego z zięciów. Gdyby nie miał choćby jednej z nich, odpowiedź byłaby „nie”,

ostatecznie i nieodwołalnie.

Sana powiedziała z płaczem:

– Kocham go, ale sądzę, że są zdecydowani go odrzucić. Boję się sprzeciwić rodzinie, bo w przyszłości wszyscy będą przeciwko mnie.

Przyszłość? Wydawało mi się, że to dziwne słowo, które nie istnieje w słowniku mojego życia.

Tradycyjna rodzina zmusza cię do myślenia o własnej przyszłości?

Rodzina nowoczesna chroni cię przed myśleniem o przyszłości?

Nie masz czasu na myślenie o przyszłości?

Jej łzy coraz bardziej skłaniały mnie do tego, żeby ją podburzyć. Powiedziałam jej, kiedy tak łkała:

– Prosił cię, żebyś z nim wyjechała. Na co czekasz? Jedź z nim. Czemu czekasz na błogosławieństwo rodziny? Pieprzyć ich i ich zdanie!

Ona pozostała, a ja wyjechałam.

Nigdy mi nie przyszło do głowy, żeby radzić się kogokolwiek w sprawach, które dotyczą mojego życia. W biurze bezpieczeństwa urzędnik powiedział:

– Musi pani mieć pozwolenie ojca, żeby dostać paszport. Takie jest prawo. Jest pani panną i na pani wyjazd musi zgodzić się pani prawny opiekun: ojciec, brat lub ktoś inny.

Mój opiekun? Tego terminu też nie ma w moim słowniku.

Ona pozostała, choć czekał na nią ukochany, a ja wyjechałam, choć na mnie nikt nie czekał.

Nowoczesna rodzina nikogo nie powstrzymuje.

W nowoczesnej rodzinie muszę tylko wzruszyć ramionami, żeby wszyscy wokół mnie zniknęli niczym pył.

UMIERA WOLNY, A NIE...?

– Przez dwadzieścia lat żyłem w Holandii niczym włóczęga. Nie miałem nic. Wiesz, co to znaczy nic? Nie wyobrażasz sobie sytuacji, w jakiej byłem. Każdy projekt, jaki zaproponowałem, był odrzucany. Każda sztuka teatralna wrzucana była do kosza. Tak było aż do dwa tysiące trzeciego roku i wojny w Iraku. Wtedy moje życie całkowicie się zmieniło. Zaczęto zapraszać mnie na festiwale, uczestniczyłem w dyskusjach, pracach zbiorowych. Zmieniło się wszystko.

Opowiadał mi, przepelniony radością, o swoich sukcesach po długim oczekiwaniu. Czy to możliwe, żeby był aż tak naiwny, że nie rozumiał, co mówi?

Dlaczego dwa tysiące trzeci? Czy przyszło mu do głowy, żeby zapytać o to samego siebie?

Po tych wszystkich latach w obcym kraju znalazł towar na sprzedaż? Wiedziałałam, że jestem okrutna, tłumacząc to w taki sposób, ale nie mogłam się powstrzymać.

Towar na sprzedaż? Zawsze przychodzi mi to na myśl. Mówiłam sobie: całe szczęście, że nie jestem Palestynką, Libanką, Irakijką, Algierką... Że nie pochodzę z żadnego z tych krajów naznaczonych krwią. Syria to także poraniony kraj. To śmieszne. Na scenie muszą być rany, krew musi kapać na widownię, żeby widzowie się zainteresowali. Rana musi być otwarta, żeby zainteresowali się nią widzowie, konieczne jest zakłęcie, żeby to było zdatne do spożycia.

Nic nie powiedziałam temu irackiemu emigrantowi. Wprost przeciwnie, uśmiechałam się łagodnie, słuchając go i wpatrując się w jego gęstą brodę i palce, które radośnie masował.

Ileż razy mówiłam sobie: dziewczyno, jesteś wolna, piszesz, co chcesz, jakieś głupoty, i nikt nie traktuje tego jako zdrady ojczyzny. Obiecałam sobie, że nie będę zachowywać się jak inni, nawet gdyby świat się walił. Nikt nie zarzuci mi, że zajmuję się błażostkami. Jestem wolna i mogę pisać, co chcę, nie zwiąże mi rąk krew historii, bo przybywam z kraju bez opowieści.

WIECZORNE ROZKOSZE

Ze szczytu góry Kasjun Damaszek rozpościera się przed nami dalekimi światłami. Ghassan zatrzymał swój samochód na poboczu wąskiej drogi i podeszliśmy na jej skraj.

– Tam jest meczet As-Sulajmanijja, tam dzielnica Ar-Rauda, gdzie stoi wasz dom, a tam hotel Four Seasons. Nie znasz go, jest nowy. – Pokazuje palcem i nazywa kolejne miejsca, jakby wypowiadał czarodziejskie formuły.

Nie śledziłam jego palca, jak wskazywał kolejne miejsca, lecz słuchałam jego głosu, kiedy je nazywał. Co znam, a czego nie znam. Co było kiedyś częścią mojej historii i o czym słyszę po raz pierwszy. Miasto zmieniło się, moje miasto, przez wszystkie te lata, i teraz muszę odkrywać je na nowo.

Czy mogę odkryć je na nowo?

Czy mogę ponownie nim zawładnąć?

– Czujesz się jak turystka?

Ghassan uśmiecha się, ja też się tylko uśmiecham. Jak przekształciłam się w turystkę w moim własnym mieście? Kto przekształcił mnie w turystkę w moim mieście?

Dostrzega zmianę w mej twarzy i poprawia się:

– Nie, nie jesteś turystką. Jesteś emigrantką, a u nas jest wielkie ministerstwo do spraw emigrantów. Czy to ministerstwo nie interesuje się twoimi sprawami? Pozostaw ich w niewiedzy. Ja się tobą interesuję i to ci wystarczy.

Śmieje się dalej, podnosi nogę i wskakuje na murek.

– Chodź!

Wyciąga rękę i widzę otchłań przede mną na odległość wzroku.

– Chodź, czego się boisz? Czy możesz na chwilę zapomnieć o swoich białych spodniach i usiąść tutaj, żeby rozkoszować się tym wspaniałym widokiem?

Śmieje się, ściskając mnie za rękę. Idę za nim po kamieniach i siadam na murku. On siada obok i cały czas gada. O swej pracy, miłości, poezji, podróżach i radości ze spotkania ze mną. O skandalu z moją książką, kraju, przyjaciołach, żonie, kochankach, o tym, jak mnie szukał, i radości ze spotkania ze mną.

– Jesteś ze mną? Nie wierzę. Kiedy dowiedziałem się, że tu jesteś, wywróciłem całą ziemię, żeby cię znaleźć. Pytałem wszystkich,

którzy cię znali, o numer twojego telefonu. Nie wierzę, że siedzisz obok mnie. – Gada i śmieje się.

Słucham jego głosu w ciemności na górze Kasjun, a moje miasto jest przede mną. Słowa krzepną w chłodzie damasceńskiej nocy, moje ciało drży.

– Nie wygramy samych siebie i nie wygramy ojczyzny. Ty wygrałeś przynajmniej siebie. Masz świadomość? – pyta nagle.

Wygrałam siebie? Powtarzam jego pytanie w myśli, jakby nie zapytał o to na głos. Jakby odpowiedział, nie słuchając mnie. Odpowiada, jakbyśmy wszyscy zadawali te same pytania w tych samych warunkach. Odpowiada, jak gdyby dyskutował sprawę z samym sobą sto razy. Ja również znam te pytania, jakby były to pytania obowiązkowe w krajach, które zjadają swoje dzieci.

Też to znam, bo przeżywałam to i przeżywam. Znam te pytania i znam wszystkie zaplanowane odpowiedzi, które tylko wymagają dowodów, aby nie przekonać się o ich wartości. Dowodów, które nic nie potwierdzają i niczemu nie przeczą. Dowodów, które zostawiają cię w chwili upadku pomiędzy niebem a ziemią. W chwili upadku, która się nie kończy.

To było w innych czasach.

Mały volkswagen o niezwykłym kolorze przemyka niefrasobliwie przed naszym domem, a ja obserwuję go przez okno wychodzące na ulicę. Wiem, że czeka na mnie w samochodzie za zakrętem. Damaszek wchodzi w czas ramadanowego wieczoru. Ludzie zajęci są ramadanową kolacją – iftarem – po całym dniu postu. Miasto jest prawie puste. Miasto jest dla nas. Siadam obok kierowcy – to miejsce śmierci. Drzę. Nie boję się. To drżenie ze spotkania z nim po tygodniu nieobecności – był na froncie. Od razu, jak zwykle, zabiera mi trzymaną w dłoni papierową chusteczkę, naśmiewając się z tego dziewczęcego zwyczaju. Tylko kwadrans i już jesteśmy na końcu drogi na Kasjun. Tam jesteśmy sami w naszym samochodzie na końcu świata, tylko z wołaniem naszych ciał. Rozmawiamy, mając świadomość, co nas czeka. Przywiera do mnie całym ciałem: „Daj mi dłoń”, mówi, a ja szybko chowam ją za siebie. Śmieje się i szuka jej. Walczymy na niby, po czym chwyta obie moje dłonie i przyciąga do siebie. Za każdym razem niebezpieczne zbliżenie. Ta sama gra za każdym razem. Zaczyna mnie całować, poznaję smak jego ust, mój

język spotyka się z jego językiem. Smak słońca z frontu. Moje serce łomocze coraz bardziej. Jego dłoń powoli wędruje po moim ciele, poznając je. Czas pierwszych odkryć i smak pierwszych odkryć. Zapach jego ciała, kiedy wychodzi z łazienki, przygotowując się na spotkanie ze mną. Niebezpieczne zbliżenie. Moje serce drży, błyszczą kropelki potu. Fale gorąca przechodzą przez moje ciało wraz z jego dotykiem, który przesuwa się od twarzy do szyi, na ramiona, na piersi, na brzuch. Moje komórki otwierają się jedna po drugiej. Bezwiednie zamykam oczy. On patrzy i uśmiecha się. Ledwie go widzę przez przymknięte powieki. To nasza gra: kto pierwszy zamknie oczy. Próbowałam walczyć i walczyć, chciałam widzieć, widzieć go i widzieć nas. Jego dłoń między moimi udami przesuwa się w górę, otwieram się. Znajduje to, czego szukał, zatrzymuje się tam, gdzie dążył, i znajduje moją tajemnicę. Naszą tajemnicę. Znajduje ją i powoli, powoli trafia na swój rytm w mojej krwi, aż następuje ta chwila, w której pociera palcami o mój lewy sutek. Uciska rytmicznie, co chwilę jarzą się pioruny rozkoszy, wybuchające z piersi, sięgając podbrzusza, wreszcie idzie ostatnia, najsilniejsza fala, mieszając się z gęstą nocą na Kasjunie (przed nami rozciąga się Damaszek, gdzie ludzie w swoich domach jedzą iftar); mieszając się z frontem, z którego właśnie wrócił po tygodniu nieobecności (szukał mnie potem przez moich rodziców); mieszając się z plotkami i opowieściami o dalekim, pustynnym miasteczku, którego nie znam; ze spojrzeniami przyjaciółek w beduińskich karawanach, z odpowiedziami studentów uniwersytetu o naszych opowieściach; wokół rozpryskują się odłamki. Otwieram oczy i patrzę na niego, rozkoszującego się moją rozkoszą.

To były inne czasy.

To były inne czasy.

Droga rozpościerała się teraz przed nami aż do szczytu góry. Po raz pierwszy widziałam ją po dwudziestu pięciu latach; dociera do mnie głos Ghassana:

– Gdybyś mieszkała w Damaszku! Gdybym spotkał cię wcześniej! Gdybym był starszy! Gdybyś była młodsza! Gdybym nie był żonaty, i ty, gdybyś była wolna! Gdybym miał ze sobą aparat fotograficzny! Gdyby... gdyby...

Śmieję się.

– Dużo tych gdybań, jak widzisz.

On kontynuuje swoją niesforną opowieść, a ja swoją dawną opowieść. Słucham go i próbuję znaleźć zgubiony odcinek na szczycie Kasjunu, w mieście, które znam i którego nie znam.

Cóż czyni z nami rozłąka?

UMIERAMY TU? UMIERAMY TAM?

Kiedy zadzwonili, żeby mnie powiadomić, było już po wszystkim. Mały ból w piersi, utrata przytomności, próby reanimacji – bez skutku. Zakrzep, zatrzymanie przepływu krwi, zatrzymanie serca. Wszystko stało się szybko. Kiedy zadzwonili, żeby mnie powiadomić, było już po wszystkim. Umarł. Jazid umarł. Tylko tyle. Jazid umarł i nic innego nie ma znaczenia.

Nie chciał się zestarzeć, zanim tam powróci.

Zawsze bardzo dbał o siebie – o zdrowie, wygląd, wagę, elegancję. Nie chciał się zestarzeć, zanim powróci: „Chcę, żeby wszyscy tam zobaczyli mnie w doskonałym stanie po całej tej nieobecności”. Ciągle to powtarzał, uzasadniając swoją dbałość o siebie. Jego marzenie się spełniło. Nie powróci jako zgarbiony staruszek, który porusza się z trudem, z drżącymi rękami, pokaszający między słowami, oddychający z trudem i niepamiętający, co zjadł dwie godziny temu. Jego marzenia się spełniły i nie dożyje starości przed powrotem. Zmarł wcześniej. Zmarł i nie powróci tam.

Inni zajmowali się procedurami pochówku w Paryżu, a ja pozostałam zeszywniała, niczym w przedpogrzebowej chłodni.

Jazid umarł jeden raz, i to wystarczy. Jego śmierć była niczym uderzenie miecza. Raz, i koniec. Moja matka umierała wiele razy. Moja matka umierała na raty. Podczas tych niewielu wizyt w Damaszku widziałam wyraźnie, że konsekwentnie zmierza do obranego celu.

Hanan powiedziała:

– Twoja matka nie umarła. Zostawiła siebie na pastwę śmierci. Nie chciała żyć. Twój ojciec umarł, dzieci wyjechały, pozostała z nią tylko twoja siostra. Nie chciała zostać. Poddała się śmierci przed wielu laty i pozwoliła jej zawładnąć sobą dzień po dniu. Odwiedzałam ją i rozmawiałam z nią. Cieszyła się, gdy mnie widziała, jakbym przypominała jej ciebie. Nie mówiła dużo, ale widziałam jej smutek.

Matka umierała kilka razy, a Jazid umarł tylko raz. Umarł nagle, nie chorował, nie męczył się, nie cierpiał. Umarł i nie widziałam go nawet w snach. Nie płakałam. Moje łzy wyschły już dawno i dobrze o tym wiedział.

Zabolało mnie, że umarł przed powrotem. Żałowałam, że tyle razy żartowałam z niego, gdy mówił:

– Lecę samolotem i ląduję w Damaszku. Co ze mną zrobią?

Wszystkie marzenia umierają po dwudziestu latach. Co ze mną zrobią? Wsadzą do więzienia na rok albo dwa? Wszystko się przedawniło. Tak mówi prawo.

– Mówisz, jakbyś przyjechał ze Szwajcarii – odpowiadałam. – Prawo? Witaj, prawo! Chcesz, żeby postępowali zgodnie z prawem? Wolne żarty, wiesz to lepiej ode mnie. Nie licz na to, że przyniosę ci pomarańcze do więzienia. Nawet gdyby powiedzieli, gdzie siedzisz, i pozwolili na wizyty. W każdym razie nie licz na mnie, bo zostanę tu i nigdzie się nie ruszę.

Ileż razy to mówił, a ja odpowiadałam mu zawsze tak samo? Nazywaliśmy to teorią pomarańczy.

Stało się to takim naszym wspólnym folklorem.

Jazid umarł przed powrotem.

Jazid umarł i nie powrócił.

Jazid umarł i nie przyniosłam mu pomarańczy do więzienia.

Jazid umarł – pochowali go, a ja zostałam tutaj.

JAK NAZYWA SIĘ TO MIASTO?

W kawiarni naprzeciwko przejścia do samolotu rozkładałam gazetę i udaję, że czytam. Obserwuję świat wokół mnie. Kawiarnia nazywa się odpowiednio: Lumirador, wieża obserwacyjna. Zawsze siedzę w swojej wieży obserwacyjnej i patrzę na świat. Tablica z nazwami miast pokazuje godziny odlotów. Szukam nazw miast arabskich. Są dwa arabskie miasta wśród dwudziestu na tablicy. Nie ma tam Damaszku.

Mężczyzna, który siedział naprzeciwko mnie w kafeterii, mrugnął do mnie przed chwilą z uśmiechem. Nie zareagowałam, jakbym była niewidoma. Spojrzał na francuską gazetę, która leżała przede mną, i uśmiechnął się. Nie chcę teraz uśmiechać się do nikogo – ani do mężczyzny, ani do kobiety. Teraz chcę pozostać zamknięta w swojej samotności i nic nie widzieć.

Młody chłopak przy sąsiednim stoliku rozmawia przez komórkę. Chyba jest zadowolony. W lewej dłoni trzyma telefon, a prawą bawi się bezmyślnie włosami. Chyba jest zadowolony. Mówi i mówi, ale ja nawet nie próbuję słuchać jego radosnych słów. Normalnie byłoby niemożliwe, żebym nie zaraziła się tą radością. Cieszyłam się radością innych. Wystarczył mi najmniejszy śmiech, żebym sama się uśmiechnęła. Każdy uśmiech napawał mnie radością. Teraz powracam mroczna, jak dni, które minęły. Patrzę na chłopaka z przeraźliwą obojętnością.

Muhammad powiedział, że jest szczęśliwy ze swoją nową żoną, młodszą od niego o ćwierć wieku. Stwierdził, że po raz pierwszy żyje z taką kobietą, że nie przejdzie mu przez myśl, żeby patrzeć na inne. Dyskutował i chciał nas przekonać. Powiedział, że przeżywa teraz całkiem nowe doświadczenie w stosunku do poprzedniego małżeństwa. Wzajemne zrozumienie i bliskość intelektualna prowadzą do szczerości. Jak zwykle zaśmiałam się głośno: czy to nie jest szczerość narzucona przez wiek?

– Wiek ma swoje prawa. Porzuciłeś je bez problemu, tak jak rzuca się kamień na łysinę.

Uśmiechnął się nieprzyjemnie i szepnął mi tak, żeby nikt nie słyszał:

– Z pewnością wiek czyni swoje, ale nie zmieni twej podłej natury.

– Dlaczego prawdę uznajesz za podłość? Ja chcę zrozumieć, a ty

szukasz usprawiedliwienia. – Zaśmiałam się, mówiąc to, a on śmiał się ze mną, klepiąc mnie konfidencjonalnie po ramieniu.

Człowiek to zwierzę, które ciągle szuka usprawiedliwień. Oczywiście, że lata nie ulepszą natury, ale za to umacniają mnie w niektórych poglądach.

Kilka godzin temu w pewnym arabskim mieście rozmawialiśmy w jednym czasie, śmialiśmy się w jednym czasie, nasze głosy wznosiły się w jednym czasie, byliśmy przyjaciółmi. A teraz sama przeglądam zdjęcia z naszego spotkania w telefonie komórkowym i widzę resztki śmiechu w oczach.

Lotnisko w małym mieście. Większość podróżnych to rodziny albo pary – zazwyczaj mężczyzna i kobieta. Ja jestem sama i chcę być sama.

Jeśliby miarą przyszłości było pragnienie, jak mówią psychologowie, znaczyłoby to, że będę żyć długo. Pierwszym objawem starości jest zanik pragnień. Umierają pragnienia, a z nimi umiera życie.

Być może mają rację.

Ja twierdzę natomiast, że miarą przyszłości jest pragnienie, pod warunkiem że odnawia się, jest ruchome, krąży jak beduińskie karawany.

Nie istnieje jedno stałe pragnienie zamieszkujące dom i dostarczające wody i elektryczności. Pragnienia biegną swoimi drogami, a ja muszę biec za nimi.

Pragnienie jest ruchome i ciało pustyni zaciera każdy ślad. Pozostają tylko opowieści czerpiące z pierwszej opowieści, matki wszystkich opowieści.

Numer lotu wyświetla się na tablicy przede mną: nadszedł czas startu. Samotnie stoję w kolejce pasażerów. Pragnienie jest ruchome i najwspanialszym wynalazkiem świata są środki transportu.

JAK MAM BIEC KU TOBIE, SKORO ICH ŚLINA PEŁZA W MOJEJ KRWI?

Czasem próbuję odtworzyć mój Damaszek.

Napisał do mnie Abd Allah po naszym spotkaniu w Kairze, że kiedyś przechodził obok naszego domu w Ar-Raudzie i nagle uświadomił sobie, że Damaszek to także moje miasto: tam się urodziłam, tam się uczyłam i bawiłam, tam spacerowałam po ulicach z moim chłopakiem. Napisał mi o swoim odkryciu i mnie także ono uderzyło. Tak, to moje miasto, to miasto, choć kiedyś liczyłam dni, kiedy wreszcie z niego wyjadę.

Chciałam wyjechać z wyboru i zostać z wyboru.

Zakazane mi jest nawet to przekleństwo?

Wykrzyczałam mu w twarz: „Czego ode mnie chcesz? Dlaczego zabraniasz mi paszportu?”. Krzyczałam, a on patrzył na mnie chłodno z pobladłą twarzą. Wyszłam na korytarz, żeby zobaczyć biura obok, które były zamknięte, kiedy wchodziłam przez otwarte drzwi. Wyobrażałam sobie, że setki uszu otwartych jak drzwi przysłuchują się kłótni i moim gniewnym słowom, żeby wszystko potem napisać w raporcie.

Wyszłam z ambasady i nigdy już tam nie wróciłam. Tamtejszy urzędnik służb bezpieczeństwa stwierdził, że nie zasługuję na to, żeby być obywatelką Syrii, więc zrealizowałam jego decyzję.

Powiedział:

– Pani mąż jest opozycjonistą.

To był wystarczający powód, żeby nie przedłużyć mi paszportu.

Podczas pierwszego spotkania uśmiechał się miło, aby wreszcie dojść do tych lepkich słów:

– Pani jest dziennikarką, więc pani praca pozwala na wiele spotkań z różnymi ludźmi. Proszę napisać mi raport raz na tydzień lub dwa, uwzględniając nowe informacje, które mogą być pożyteczne dla ojczyzny.

Wybuchnęłam śmiechem:

– Nowe informacje znacie dobrze, zanim dotrą do mnie. Ma pan wielu współpracowników, ja do niczego się nie przydam. Gdybym chciała pisać raporty, nie czekałabym przez te wszystkie lata, gdybym chciała, zostałabym w kraju i pewnie już bym była ministrem kultury.

Powiedziałam to z całą świadomością, że to odwaga na odległość. Gdybym była w jego biurze tam, z pewnością połknęłabym

pół języka, jeśli nie cały.

Następnym razem odkrył: mój mąż jest opozycjonistą. Jakby nie wiedział tego wcześniej i jakby teczka Jazida na jego biurku nie puchła z dnia na dzień od kolejnych raportów.

Czy mam się z nim rozwieść, żeby przedłużyli mi paszport? Czy mam wymienić jeden oficjalny papier na drugi i móc ich obu powiązać?

A może powinnam wygłosić mu feministyczny wykład o prawach i niezależności osobistej kobiety wobec mężczyzny, nawet jeśli jej mąż jest opozycjonistą?

Powinnam, ale nie zrobiłam tego. Zatrzasnęłam za sobą drzwi, schowałam paszport i przeglądam go czasem, żeby choć spojrzeć na swoje dawne zdjęcie.

Chciałam oddalić się z własnej woli, ale zakazano mi nawet wyboru.

SŁOWA, SŁOWA, SŁOWA

Kiedyś, kiedy jeszcze byłam mała, postanowiłam, że nigdy nie przyciągnę faceta do łóżka słowami. Nie wiem, skąd przyszła mi do głowy taka dziwna myśl, ale zawsze starałam się realizować dawne przysięgi i nie występować przeciwko nim ani trochę. Teraz, po latach doświadczenia, zrozumiałam, że kobieta nie jest w stanie wciągnąć do łóżka mężczyzny o zdrowych zmysłach, nawet gdyby mu czytała *Pieśń nad pieśniami*. Skąd przyszła mi do głowy taka obrzydliwa myśl? Czy widziałam kobiety próbujące zwabić mężczyzn słowami i postanowiłam nie robić tak jak one? Problem w tym, że nie śledziłam takich scen i nie znałam ich zakończenia.

Paradoksem jest to, że nie chcę przyciągać mężczyzn swoimi słowami, a moje żądze rozpalają tylko słowa. Tym, co w ciele mężczyzny najbardziej mnie pociąga, jest język. Słucham tych, którzy posiadli dar słowa, i czuję się tak, jakbym oglądała film pornograficzny.

Trzymał mnie za obie dłonie i całował ich wnętrza delikatnie, miejsce po miejscu. Nie zabrałam ich od razu. Zostawiłam je na chwilę i ogarnęło mnie denerwujące wrażenie współczucia. Próbowalam je ukryć. Przypomina mi dawne czasy, kiedy byliśmy sobie bliscy i prawie... Ale nie zrobiliśmy tego. Nie. Nie zrobiłam tego. Uciekłam od niego, nie oglądając dowodu Pana. Być może był to dowód tylko dla proroków. Dowód nie jest dla nas. Bóg nas wybrał i obiecał, że dojdziemy do krańca drogi rozkoszy.

Rozkosz jest dozwolona.

Rozkosz jest dozwolona nawet prorokom. Potem drogi się rozeszły: jednym Bóg zesłał dowód, inni pozostali w fali rozkoszy. Co mogłabym wybrać, gdybym została wybrana? Na szczęście nikt mnie nie zapytał.

Kiedyś tam był ze mną, piękny, błyskotliwy, wspaniale mówił, ogarnęła mnie żądza, i już prawie, już prawie, ale nie. Teraz widzę go przed sobą, jak wspomina tamte czasy i chce je odtworzyć, ale ja nie wracam do przeszłości.

Dawniej to on kochał moje słowa. Zawsze, gdy się spotykaliśmy, pytał:

– Kiedy napiszesz o mnie wiersz?

Odpowiadałam z uśmiechem:

– Nie jestem poetką okazjonalną. Musisz znaleźć inny sposób, by zapisać się na kartach historii.

Denerwujące wrażenie współczucia. Minęły lata. Pozostała z niego tylko skorupka. Zmienił się całkowicie.

Co zostało ze mnie?

Jak długo go nie widziałam? Wyjechał z Paryża do miasta na południu, szukając słońca, morza i zapachu swego kraju. Przestały docierać informacje o nim, poza tymi o nałogu. Wydawał wszystko na kokainę. Żona z dziećmi uciekła od niego, kiedy przekroczył już wszelkie granice. Prawie zszedł z tego świata z przedawkowania. Szpital, policja, skandal – powtarzaliśmy wszyscy, przekazując sobie wiadomości.

Współczuję mu, bo kiedyś go kochałam. Oboje mamy świadomość, że jego ekscesy to nie jedyne, co nas dzieli.

Inni szukają dla niego usprawiedliwienia. Opowiadają o nim i upatrują przyczyn kryzysu w trudnych stosunkach z żoną, w oddaleniu od kraju, w pozycji zawodowej przed wyjazdem, której nie może osiągnąć tu, pomimo wielkich ambicji. „Niech Bóg przeklnie emigrację – mówią. – To ona jest źródłem upadku”. I kiwają głowami ze współczuciem.

Nie chciałam ani wyjaśnień, ani przyczyn. Po prostu go nienawidzę. Dlaczego unicestwia sam siebie? Czy nie wystarczy, że wszystko wokół ulega rozpadowi?

PRZEMIJAM NICZYM WIATR

To nie jest zabawa. Za każdym razem, gdy go spotykam, mówię z przekonaniem: „To nasze ostatnie spotkanie”. Mam taki zamiar przy każdym spotkaniu i za każdym razem nie dotrzymuję obietnicy. Czy wierzy w moje zapowiedzi? Nie wiem. Próbuje za każdym razem zrozumieć przyczyny i za każdym razem przekonuje mnie do zostania. Przypomina mi to zawsze po tych kilku latach i uważa, że to gra. Nie, nie gra.

Trwam przy ciągle odkładanej decyzji odejścia.

Teraz wydaje mi się, że zostawałam, bo byłam pewna, że będę mogła odejść w każdej chwili. Wystarczy, że otworzę dłoń z decyzją i od razu znajdę się daleko, daleko. Wydaje mi się, że zostałam, bo wiedziałam, że istnieje możliwość, żebym była wolna, i nie musiałam tego potwierdzać. Nie byłam w stanie kontynuować życia bez ciągłego pragnienia odejścia, oddalenia.

Przekonuję samą siebie, że nie mogę przywrzeć do miejsca bardziej niż woda w potoku spływającym ze zbocza. Przekonuję samą siebie, że silniejsza jestem od jakichkolwiek kajdan. Przekonuję samą siebie.

To było konieczne, żebym mogła dalej żyć.

Kilka koniecznych iluzji.

CZY UMARŁAM POTAJEMNIE?

Dlaczego, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, opowiedziałam mu o Fritzu Zornie i jego książce *Marzec*? Dlaczego opowiedziałam mu o tym Szwajcarze, który zmarł w wieku trzydziestu dwóch lat na raka krtani? O jego prawdziwym nazwisku, które oznacza „strach”, i jego pseudonimie, który znaczy „gniew”? Dlaczego opowiadałam mu o tym, jak Zorn pisał o swoim życiu i swej wielkiej burżuazyjnej rodzinie? O stosunkach w rodzinie uregulowanych do niewyobrażalnego stopnia. O dobrym wychowaniu, które wskazywało, co i gdzie należy powiedzieć, a czego mówić nie można. O niezdolności do miłości i nawiązywania prawdziwie bliskich stosunków z innymi. W wieku trzydziestu lat dowiedział się, że jest chory na raka. Zostawił wtedy pracę akademicką, rozpoczął leczenie u psychologa i zaczął pisać wspomnienia. Napisze, że guz to jego słowa, łzy i krzyk. Że guz to wszystko, co w życiu ukrywał i co wreszcie eksplodowało w krtani. Dlaczego opowiedziałam mu o tym wszystkim już na pierwszym spotkaniu w Tunisie? Dlaczego opowiedziałam mu o Zornie, który przez całe życie tylko zbliżał się krok po kroku do śmierci?

Abd Allah chciał przeczytać tę książkę, ale nie wysłałam mu jej do Damaszku. Nie spełniłam tej obietnicy.

Przybył stamtąd. Przybył z mojego miasta. Brał tabletki uspokajające i wypijał kilka mocnych kaw dziennie, po czym wieczorem łykał tabletki na sen. Żartowałam z tych jego leczniczych zwyczajów, a on śmiał się razem ze mną i powtarzał: „Ty jedyna wytykasz mi te moje zwyczaje”. Być może dlatego, że rozumiałam, dlaczego tak robi. Wiele lat temu przestał pisać – miał oczy szeroko otwarte na wszystko, co się dzieje wokół. Nie mógł nie widzieć.

Czy mógł coś powiedzieć?

Leżymy w ubraniach na łóżku i rozmawiamy. Nie przestawaliśmy rozmawiać.

Kiedy przyszła Luma, szukając nas w hotelu, znalazła uchylone drzwi i zdziwiła się widokiem stóp wystających z łóżka – jego w dziurawych skarpetach, a moich bosych. Zapukała delikatnie do drzwi, a my zawołaliśmy jednocześnie, nie ruszając się: „Proszę!”. Nic dziwnego, że była zmieszana. Widziała nas rozłożonych na łóżku i niepewnie się czuła. Patrzyła na nasze stopy i jeszcze bardziej była

zmieszana. Szukała nas, bo czekała na nas kolacja. Wskoczyliśmy w buty, a ona patrzyła na nas z zazdrosnym zaciekawieniem.

Powiedziała z lekką zazdrością:

– W życiu nie widziałam go tak wyluzowanego. Żeby tak żartował i śmiał się. Całkiem inny człowiek!

Ucieszyłam się.

Kiedy odeszła, zapytałam go:

– A co masz z nią wspólnego? Czemu się przed nią kryjesz?

Przecież to piękna kobieta.

Przerwał mi:

– Nie kryję się przed nią. Uciekam od niej. Ona nie przestaje mówić. Jest nastawiona na nadawanie. Nie jest w stanie posłuchać ani jednego słowa, które wypowiada ktoś inny, kimkolwiek by był. Całe godziny potrafi opowiadać szczegóły ze swego życia, nie zdając sobie sprawy, że to może kogoś w ogóle nie obchodzić. Wyobraża sobie, że wszystko, co jej dotyczy, musi być w centrum zainteresowania. Niech Bóg ma w opiece jej męża. Nie daj Boże!

Nic nie powiedziałam. Jej paplanina jakoś mi nie przeszkadza. Słucham jej z zainteresowaniem i jej miła gadanina nie męczy mnie, kiedy próbuje swoim głosem wypełnić pustkę milczenia innych.

Obserwowałam go, jak ostrożnie je, jak ktoś, kto wypełnia małżeński obowiązek, ale szkodzi mu to na żołądek. Coś innego szkodzi mu na oddech, jeszcze coś innego na jelita, a tamto na nerwy. Był blady i smutny, lecz razem śmialiśmy się do rozpuku.

– Jak to się stało, że nie znałem cię wcześniej w Damaszku? – zapytał, ale ani on nie czekał na odpowiedź, ani ja nie odpowiadałam.

„Napisz do mnie” – powiedział, a ja powtórzyłam mu słowa amerykańskiego poety: „Pisanie i gadka nie utrwalą tego, o co mi chodzi; wszystko, czego chcę, jest wypisane na moim czole”.

Zrozumiał, co mam na myśli, i przestał mnie przekonywać.

Powiedział, że jestem w zasadzce, a ja znałam w tym swoją rolę.

Opowiadał o kłamstwie. Zachnęłam się, urażona rodzajem fałszywej szczerości, jaka towarzyszyła mi w życiu. Ja kłamię? Moja odpowiedź była okrutna do bólu. Powstrzymał gniew i wyszedł z pokoju skurczony w sobie.

Już go więcej nie widziałam.

Napisał do mnie, ja do niego, ale już go więcej nie widziałam.

Zmarł na raka?

Zadławił się przetykanymi słowami. Zadławił się tym, czego nie był w stanie wypowiedzieć. Zadławił się tym, czego nie był w stanie napisać. U niego też przetykane słowa wybuchły rakiem w krtani. Szwajcar zadławił się, ponieważ żył, nie próbując powiedzieć „nie”, a Abd Allah zadławił się przymusem, zgnilizną i brzydotą.

Uchyłał się i pisał, a w jego gardle tkwił rak. Pisał inaczej niż dawniej, opowiadał o nadziei i nie mógł dalej żyć.

Nie wysłałam mu książki. Abd Allah zmarł po latach w Damaszku, a kłamstwo tego, co miałam wypisane na czole, nie trwało długo.

NIE JESTEM Z TEGO ŚWIATA

W ciągu jednego roku szkolnego moja szkoła podstawowa przeżyła dwa przewroty. Raz poszło o Samirę, której obcięto włosy na krótko, nazwano Samirem i przeniesiono do szkoły dla chłopców, a drugi raz o mnie.

Dziewczynki zebrały się wokół nas, otoczyły, przyglądały się, a potem opowiedziały wszystko nauczycielkom. Pamiętam ten obraz po tych wszystkich latach. Stała nachylona przy ścianie i płakała blisko ogrodowej fontanny, a ja patrzyłam na nią. Pamiętam jej łzy i wyraz jej naznaczonej bólem twarzy.

Ja nie płakałam.

Czy odetchnęłam z ulgą?

Odkryłam kłamstwo i nie płakałam.

Ja, chrześcijanka, która zmieniła się w muzułmankę.

Nauczycielka zawołała mnie. Usłyszałam, zdziwiona, jej głos i już po chwili zrozumiałam, że ciało, które przez trzy lata chowałam pod szkolną sukienką, wyszło z kryjówki i stanęło obok mnie z imieniem mojego ojca.

Odkryłam i przekonałam się, że zamknął się pewien etap i muszę rozpocząć nowe życie. Zniknęła chrześcijanka, która zgłaszała się do recytacji Koranu na lekcji religii, a koleżanki klaskały, zachęcając ją do tego.

Nauczycielka kiwała głową przyjaźnie, przysłuchując mi się.

– Hazar, córeczko, twój ojciec jest muzułmaninem, więc i ty jesteś muzułmanką.

Jej odpowiedź była krótka i prosta, pozbawiona zbędnych szczegółów opowieści, którą ja przekazuję.

Od dziś jestem muzułmanką?

Jestem muzułmanką, bo mój tato jest muzułmaninem?

Efekt jest prosty, choć do tej pory nikt do niego nie doszedł w naszym domu.

Efekt jest prosty, ogłosiła go nauczycielka bez dramatu, choć w moim sercu nastąpiła tragedia.

Efekt jest prosty, byłam dziewczynką, którą znam, ale o której muszę zapomnieć. Bałam się.

Byłam dziewczynką?

Nie, nie byłam żadną dziewczynką.

W pierwszym i jedynym roku u zakonnice byłam chrześcijanką i przeżyłam pierwszą komunię razem z innymi dziewczynkami i chłopcami. Mama musiała wymyślić jakieś przekonujące kłamstwo, dlaczego nie miałam świadectwa chrztu, którego żądała matka przełożona. Ja powtarzałam to kłamstwo z pełnym przekonaniem.

Matka przełożona wymagała, żebyśmy byli na czczo i żebyśmy nic nie jedli rano przed przybyciem księdza i przyjęciem komunii świętej. Ja jadłam i piłam wbrew wszelkim zakazom. Potem klękałam na brzegu drewnianego klęcznika, unosiłam głowę i otwierałam usta przed ręką księdza, który dawał mi ciało Chrystusa, i przyjmowałam je z czcią, jak trzeba.

Szłam w długiej białej sukience obok matki i starszej siostry.

Oglądałam moje zdjęcie po uroczystości kościelnej w tym stroju, w wianku na głowie i w rękawiczkach niczym panna młoda, z wystraszoną miną, wpatrzona w obiektyw aparatu fotograficznego.

Wiele lat później moja młodsza siostra wyszła za mąż za cudzoziemca chrześcijanina, zgodnie z testamentem matki, i moje dzieciństwo się powtórzyło. Moje zdjęcie stało się jej zdjęciem. Opowiada mi o tym i obie się śmiejemy.

Kłamstwo o mojej pierwszej komunii przydało się mojej siostrze i polepszyło jej sytuację wobec rodziny jej męża. Choć obca, to przynajmniej łączą ich te same obrzędy religijne.

To, co zaczyna się kłamstwem, kończy się kłamstwem?

Nie skończyło się dotąd.

„Chcę dla moich dzieci chrześcijańskiego wychowania”. Tak mówił zawsze mój ojciec. Słyszałam to setki razy. Nie wiem, o co mu chodziło. To zdanie było częścią rodzinnego folkloru i nie zatrzymywałam się nad nim specjalnie. Tłumaczę je jego miłością do matki i chęcią jej zadowolenia.

Ona zaś realizowała to w praktyce, albo przynajmniej próbowała.

Każde z nas próbowało znaleźć odpowiednie rozwiązanie. Mój starszy brat, który pojechał do pracy w Zatoce, przetłumaczył imię matki na arabski i z Wiktorii przekształciła się w Intisar. „Chcecie, żeby się tam ludzie ze mnie śmiali?” – to było wyjaśnienie dla nas.

Moja starsza siostra uczyła się, a potem uczyła u zakonnice i żyła jak chrześcijanka, komplikując sobie życie w głębokiej wierze.

Każde z nas próbowało.

Ja, ze swoją dramatyczną naturą, zaplątałam opowieść od samego początku. Sądziłam, że powinnam wybrać pomiędzy matką a ojcem, ale nie chciałam wybierać. Sądziłam, lecz nie wybrałam, i tak już pozostałam rozdarta na skrzyżowaniu dróg, wymyślając coraz to nowe historie.

Ludzie rodzą się w religii swoich ojców? To reguła, ale od każdej reguły są wyjątki.

Nie wyznaję religii ojca, ani męża, ani szefa, nawet religii moich kochanków. Wspominam ich na końcu, bo się zmieniają. Trzej pierwsi są stali jak na razie.

Kiedyś, dawno temu, czytałam, że czar mitu zawiera się w zmianie, która tkwi w jej mocy urzeczywistniania przeciwności. Zmiana następuje wtedy, gdy w jednym czasie mit opowiada o wzroście i rozpadzie, prawdzie i wyobrażeniu, tym, co ważne i nieważne, o innym i o mnie.

Mit nie mówi o zmianie inaczej niż tylko po to, żeby się unicestwić. To nasza rzeczywistość i to, co byśmy chcieli, żeby się zdarzyło.

Zmieniłam się i nie chcę być nikim innym.

Czy Samira chciała?

W mojej głowie łączą się dwie opowieści. Określenie „chłopiec Hasan”, którym mnie wszyscy nazywali, stało się naturalne. Byłam jedyną dziewczyną, która biegła z chłopakami z sąsiedztwa, chwyciła ich za szyje i biła się z nimi.

Zmieniłam się?

Miałam dziesięć lat. W następnym roku zaczęły rosnać mi piersi, a ja zaczęłam walkę, żeby je ukryć swoimi dziecięcymi, naiwnymi sposobami.

Nauczycielka powiedziała:

– Twój ojciec jest muzułmaninem, więc i ty jesteś muzułmanką.

Reguły społeczne są jasne i jednoznaczne: znają tylko rozróżnienie czarne – białe, ale reguły opowieści znają najrozmaitsze kolory.

Reguły opowieści?

Opowieść nie ma reguł.

MOJE CIAŁO NIE MA WŁASNEJ HISTORII

Opowieść to podróż, a ja nie chcę wracać.

Odyseusz odjechał, ale w jego głowie tkwiła myśl o powrocie. Odplynął, żeby powrócić, jednak nie spieszył się. Jego podróż trwała dwadzieścia lat, lecz ciągle jakiś podstęp wydłużał czas oddalenia, ale jednocześnie zbliżał go krok po kroku do jego miasta. Mówią, że był pierwszym podróżnikiem na tej wyspie. To było jedyne miejsce, gdzie mógł osiąść na stałe. Mówią też, że dążył do przekonania swoich towarzyszy, żeby powrócili na statek i kontynuowali podróż. Oczarowała ich wyspa Lotofagów z jej palmami, oliwkami i kaktusami.

Mało brakowało, żeby nie powrócił z tej wyspy; ja nie powrócę.

Byłam pewna, że nie powrócę. Nie odważyłam się jednak powiedzieć tego na głos. Obawiałam się zejść z prostej drogi, jak gdyby powrót był osobistym obowiązkiem każdego podróżnika¹². To wstyd, żebym otwarcie mówiła o swoim pragnieniu odcięcia się, o swoim pragnieniu podążania do przodu – dalej i dalej.

W ukryciu hodowałam swoje oddalenie, pielęgnując je z troską. Nienawidzę nostalgii i płaczu nad opuszczonym obozowiskiem.

Chcę opłakiwać opuszczone obozowisko¹³ właśnie dlatego, że nigdy nie ożyje. Opłakiwać opuszczone obozowisko, ponieważ chcę, żeby pozostało opuszczone. Nie będziemy żyć po raz drugi tak samo jak kiedyś – na szczęście. Opłakiwanie opuszczonego obozowiska – nie płacz za tym, co zostawiłeś za sobą, lecz ciesz się na nieznane, które czeka cię za horyzontem.

Nie chcę wracać.

Dlaczego nie mam prawa przebywać w miejscu, gdzie się nie urodziłam, bez zatruwania sobie krwi marzeniem o powrocie? Iluzją powrotu? Planem powrotu?

Nie rozumiem tego głębokiego związku, który łączy ludzi z miejscem ich urodzenia. Wszyscy przechowują poetycką, retoryczną nostalgię i powtarzają ją bezmyślnie.

„Nie wierzę w to, co mówisz. Wiem, że marzysz o powrocie bardziej niż ja. To wszystko filmy”. Tak ciągle mówił Jazid, a ja naciskałam, potwierdzałam i podkreślałam: „Nie chcesz uwierzyć. Denerwuje cię, że jest ktoś, kto nie układa swoich dni według planu koniecznego powrotu. Chcesz, żeby wszyscy byli tacy jak ty”. Wzruszałam ramionami i wychodziłam. Wydaje mi się, że ostatnie

słowo należało do mnie i że zwyciężałam, zadając ostateczny cios, jak każda kobieta na koniec dyskusji. Wzruszałam ramionami, milczałam i odchodziłam.

To moje miasto i nie powrócę do niego. Nie ma tam miejsc dzieciństwa ani wspomnień, które przywracałabym z goryczą.

To moje miasto, ale nie spędzę życia, oplakując jego utratę. Nie potrzebuję zaklejać sobie uszu woskiem ani przywiązywać się do masztu okrętu. Nie słyszę żadnych głosów i nie zostałam stworzona jako zwierzę domowe.

Jestem tutaj i to też jest moje miasto.

Dlaczego mam się związać z moim pierwszym miastem, a nie z drugim? Tu mieszkam dłużej, niż mieszkałam tam.

Czy mogłabym wyobrazić sobie swoje życie w innym miejscu, bez związku z tym i tamtym miastem?

PO MNIE CHOĆBY PUSTYNIA

Brak mi rajy utraconego. Rajy dzieciństwa z przeszłości lub rajy Boga po śmierci. Nie. Brakuje mi obu rajów. Brakuje mi podróży między nimi. Żeby przenosić się między jednym a drugim. Żeby je połączyć. Być może.

Nie ma rajy w mej historii?

Wydaje mi się, że nie znałam dzieciństwa. Dzieciństwa takiego, o jakim opowiadają inni, nie znałam. Pamiętam tylko, że otworzyłam oczy na ten świat, przyglądając się z ciekawością wszystkiemu, co wokół. Pytałam siebie, ale nie miałam odwagi zapytać innych. Czy miałam rację, że nikt nie odpowie na moje pytania? Czy miałam rację, że takich pytań się nie zadaje, dlatego wolałam je przełknąć i poszukać odpowiedzi na własną rękę? Przywykłam polegać na sobie w poznawaniu świata.

Otworzyłam oczy na pytania pogrzebane w zamkniętych pokojach przed wzrokiem innych. W pokojach Sinobrodego, zamkniętych z zewnątrz, otwartych od środka na siebie, a wiatr przenosił słowa między nimi, bawiąc się moją historią. Nikt mi nie groził. Nikt mnie nie ostrzegł. To ja zamknęłam i ja otworzyłam. Ja jestem Sinobrodym i ja jestem jego dziewięcioma żonami. Łagodnymi i zbuntowanymi.

Otworzyłam oczy na moją młodość, kiedy moja przyjaciółka płakała z powodu okrucieństwa swojego chłopaka. Kpiłam z niej. Kpiłam z jej słabości i zazdrościłam jej. Dlaczego nie mogę płakać z powodu okrucieństwa ukochanego?

Być może dzieciństwo było tym pierwszym miejscem. Być może tego właśnie mi brakowało.

Być może brakuje mi tego pierwszego miejsca, do którego mogłabym tęsknić. Jakby nie było pierwszego miejsca. Było mi łatwo spakować walizkę i wyjechać. Łatwo mi było się wyrwać. Wyrwać? Nie, używam tego czasownika nie tam, gdzie trzeba. To nie było wyrwanie, odcięcie, wykorzenie, przeniesienie. Wyrwałam się, odciąłam się, wykorzeniłam, przeniosłam z miejsca na miejsce. Przesączyłam się niczym woda.

Od dawna jestem w miejscu, które nie jest moim miejscem. Dziś jestem tutaj, a jutro mogę być gdzie indziej. Wiem to doskonale.

Wiem, że moja droga nie jest zamknięta sama w sobie. Nie ma

dwóch stron kręgu, który chce zamknąć się powrotem do pierwszego miejsca. Nie ma powrotu do pierwszego miejsca. Mit o Odysie to ukryta kpina. Uczyli nas, że pierwsze miejsce musi być miejscem ostatnim. Dlaczego? Dlaczego mam umrzeć tam, gdzie się urodziłam? Być może tak pięknie było w literaturze, w życiu i poezji, ale teraz to bezużyteczny pomysł: musimy stworzyć nowe mity. Mit o kimś, kto wyjeżdża i nie wraca. Mit o kimś, kto porzucił miejsce urodzenia. Mit, w którym nie ma miejsca dla uchodźstwa, nostalgii i płaczu nad opuszczonym obozowiskiem. Każde miejsce jest moim miejscem. Świat należy do mnie, a ja jestem córką tego świata.

Nostalgia jest łaską, ale ja nie potrzebuję łaski, która będzie mi towarzyszyć w życiu. Nie chcę łaski. Chcę stać na własnych nogach tam, gdzie właśnie stoję. Koniec. Kropka.

Poeci emigracyjni spędzili życie na opłakiwaniu ojczyzny, którą opuścili, ale nikt z nich nie powrócił. Nawet nie próbowali powrócić. Nostalgia pięknie wygląda w literaturze, nawet w życiu. Poeci emigracji stworzyli szkołę nostalgii. Nostalgia bez realizacji. Ten, kto powraca, nie wie, co to nostalgia. Powrót jest działaniem, nawet jeśli późnym. Nostalgia to rodzaj zmywy z samym sobą i z innymi.

Istnieją twarze fotogeniczne? Są także tematy fotogeniczne.

Nostalgia jest jednym z nich.

Nostalgia oznacza czekać na zawsze opóźnione spotkanie, a ja nie znam oczekiwania.

ROBINSON Z CLUNY

Czekając na autobus na stacji Cluny, widzę go każdego ranka. Tkwi tam od ponad roku. W lecie przysuwa się do muru sąsiedniego ogrodu po stronie chodnika, w zimie korzysta z daszku przystanku. Siedzi na rozpadającym się krzeselku obok wózka sklepowego wypełnionego dorobkiem jego życia: wielkimi skórzanymi torbami z najrozmaitszymi gratami, których z dnia na dzień jest coraz więcej, i małymi torebkami z rzeczami podręcznymi. Przychodzę zazwyczaj, kiedy przygotowuje się do zaczynającego się dnia: mała butelka wody, na wpół sparciały ręcznik, którym wyciera twarz i szyję, plastikowe pudełko na pędzel do golenia, którym z uwagą namydla podbródek, wreszcie grzebień, którym czesze szare, zmatowiałe włosy. Nosi ubranie, w którym sprawia wrażenie Anglika spędzającego weekend na wsi, jak w filmach. Patrzy przed siebie takim wzrokiem, jakby nikogo nie widział. Zachowuje się, jakby był na bezludnej wyspie. Nie brakuje mu niczego poza tym, żeby mógł wypić filiżankę kawy i zapalić po raz ostatni drogiego papierosa.

Z radia umieszczonego przy półkach bagażowych usłyszałam głos wiadomości porannych. Nagle przede mną zaczął falować kolor wody na ścianach pomalowanych na zimne kolory. Ten niebieski kolor wody otacza kulę ziemską w oceanach i kontynentach, morzach, górach i rzekach.

Na trzech nogach z czarnego metalu z zadziwiającą równowagą opiera się cały świat.

Goli podbródek bez lusterka, patrzy do przodu, być może myśli o innym miejscu, tak jak ja.

Mam wyimaginowane rodzeństwo w każdym miejscu.

BOMBA NIESIE ZE SOBĄ ODŁAMKI

Nerwica mojej matki z pewnością była ideologiczna. Zimna wojna między Wschodem a Zachodem była jej osobistą wojną. Wybór był jasny, stały, jednoznaczny i niezmienny. Jej mekką był Rzym i Waszyngton – tu nie było sporu. Podsumowaniem tego były dalekosiężne plany związane z przyszłością jej dzieci. Mój ojciec kpił z tych zasad, widząc w tym jakiś dowcip, podczas gdy ona z cierpliwością mrówki robiła wszystko, żebyśmy wszyscy podążyli tam, gdzie sobie zaplanowała.

Kiedy byłam mała, ojciec pytał mnie przy gościach: „Dlaczego mama kocha króla Husajna?”, a ja odpowiadałam poważnie: „Ponieważ jest agentem imperializmu”. „A dlaczego nienawidzi Nasera?”. „Ponieważ jest wrogiem imperializmu”. Wszyscy się śmiali, jakbym opowiedziała dowcip. To nie był dowcip. Wiedziałam, że mama nienawidzi wszystkiego, co było arabsko-muzułmańskie, co odrzucało Zachód, i nie kryła tej nienawiści, wznosząc wysoko sztandar chrześcijaństwa i imperialistycznego Zachodu.

W tamtych czasach wszystko było proste i łatwe, nawet dla mnie.

Czy nerwica mojej mamy była polityczna?

Próbowałam to później zrozumieć. Na początku tłumaczyłam to małżeństwem jej, chrześcijanki, z muzułmaninem. Sądziłam, że jej religia była powodem wyborów ideologicznych, ale sprawy były bardziej skomplikowane.

Odrzucała Nasera i widziała go w snach, jak ją pyta, dlaczego aż tak go nienawidzi. Ten jej sen był jeszcze jednym dowcipem w naszej rodzinie, który ojciec opowiadał gościom, a my, dzieci, powtarzaliśmy go dalej niczym bajkę.

Czy na pewno nerwica mojej matki była ideologiczna?

W naszym damasceńskim domu na ścianach wisiały ikony. Chrystus, Maria Dziewica i wszyscy święci żyli razem z nami. „Maria Dziewica?” – zapytałam. „Nie wierzcie” – radził nam ojciec z uśmiechem i opowiadał nam historie inne od oficjalnych, religijnych.

– Dawniej ludzie wierzyli we wszystko, co im opowiadano, ale teraz ludzkość się zmieniła i nie ma już miejsca na bajki niezgodne z rozumem. Prorocy to byli przywódcy, myśliciele. Byli inteligentniejsi i mądrzejsi od innych – to wszystko”.

Ileż razy słyszałam to od ojca i ileż razy widziałam, jak matka

trzęsa się wtedy z oburzenia i złości. A on uśmiechał się pojednawczo, ale przy najbliższej okazji znów to powtarzał.

Czy musiałam wybrać między nimi?

Czy musiałam wybrać pomiędzy Bożym cudem mojej mamy, jej miłością i codzienną wiarą, planami i Pismem Świętym w ręce, które otwierała na Psalmach, wróżąc na przyszłość, a ojcem ze zbiorem wypowiedzi kalifa Alego, czterdziestoma papierosami, głosem słynnej egipskiej śpiewaczki Umm Kulsum, szklaneczką araku każdego wieczoru, kiedy przekonuje urzędnika nawołującego do postu w ramadanie, żeby sobie poszedł, z opowiastkami o konieczności stworzenia fantastycznego ministerstwa, gdzie każdy prorok przechowywałby teczkę z cudami.

Otworzyłam oczy na świat i nie chciałam wybierać.

Kocham moją mamę. Kocham moją mamę, trzymam ją za rękę i towarzyszę jej w każdym miejscu, jestem z niej dumna i boję się o nią, kiedy spoglądają na nią z podziwem obcy mężczyźni. Przytulam się do niej jak mały kot, ale nie zapisuję się do jej partii religijnej.

Byłam w trudnej sytuacji.

Uświadomiłam sobie niebezpieczeństwo mojej miłości i przeczuwałam, że będę musiała wyjechać, żeby nie stała się dla mnie kajdanami. Żeby nie stała się pułapką przyciągającą klejem ugody.

Byłam do niej podobna i zrozumiałam, że będę mogła być szczerą tylko z daleka od jej miłości. Z opowieści o mnie i o niej wyciągnęłam wniosek, że kajdany miłości, jakiegokolwiek miłości, mogą jedynie zatruć moją egzystencję.

WYJEŻDŻAM OKRYTA TAJEMNICĄ

Upał, morskie wody i pofałdowany piasek chronią przed myśleniem. Czy myśleniem jest powtarzanie raz po raz kolejnych opowieści? Od początku do końca. Każdy moment jest dobry, żeby obejrzeć taśmę jeszcze raz. Kiedy nadchodzi czas bólu, nie mogę zrobić nic innego, tylko rzucić swe ciało w fale, do morskiej wody, aż myśli się rozplyną, aż rozplyną się cierpienia, wspomnienia i obrazy. Rozplynie się mózg i jego zwoje. Nie pozostaje nic prócz smaku wody i ciepłych promieni słońca. Nasze ciała i nasze dusze wędrują po ziemi.

Przybyłam z walizkami, kieszeniami i sercami opróżnionymi ze wszystkiego, co mogłoby mnie zawrócić do labiryntu opowieści. Nie wiązało mnie nic, nawet najcieńszy włos. Odrzuciłam wszystko. Wiedziałam, że nie mogę obciążać duszy jakimikolwiek śladami przeszłości. Zrozumiałam, że nie mogę obciążać nadchodzącego czasu otwartej rany małymi resztkami wspomnień, nawet nostalgią.

Co to jest nostalgia?

To nostalgia do nostalgii.

Mahmud niemal zbudował sobie z nostalgii ojczyznę. Ja zmasałam swoją nostalgię i koncentruję się na zmasaniu nostalgii do nostalgii. To sprawiło, że stałam się okrutna, że zaczęłam kpić i naśmiewać się. Próbuję iść, nie odwracając się za siebie – ani z gniewem, ani bez gniewu. Nie oglądam się za siebie.

Czy tak sądziłam?

Nie chciałam patrzeć za siebie, żeby nie zobaczyć rozmiarów straty. Pierwsza strata to rana, potem wszystko już mniej bolało. Mahmud powiedział:

– To normalne, że wyjechałaś, bo wyjechałaś już wcześniej. Pierwsza strata nastąpiła tutaj, dlatego było ci łatwo wyjechać po raz drugi.

Wszystko, co nastąpiło później, zbudowane zostało na tym pierwszym pęknięciu. Rana ukryła się w tej rozpadlinie.

Moja rozpadlina zbudowana została na opowieści o miłości. Miłość u mnie łączy się z tym niemożliwym węzłem. Słowo miłość należy do tych, których z nikim nie możesz dzielić. Słów, których nie mogę przeżyć bez innych, zakazałam sobie wspominać przy nich.

Nie chcę przywracać przeszłości wspomnieniami, chcę przywracać ich układ tak, jak chcę. Tworzę dla niej początek i koniec.

Ja określam koniec, tak jak nakreśliłam początek.

To ja określam echo przeszłości, ponieważ określam przeszłość jako taką.

Kiedy byłam po dwudziestce, pokochałam mężczyznę, ponieważ pisał rozprawę o cechach indywidualnych. Oczarował mnie ten termin. Znalazłam w nim klucz do świata. Cechy indywidualne to to, co odróżnia jednego z nas od drugiego. To czyni mnie mną i siebie tobą. Pokochałam go i długo szukałam jego cech indywidualnych. Rozprawa i jej pomysł miały na mnie wpływ seksualny. Napawałam się jego książką i długo szukałam jego cech indywidualnych, określałam swój stan od początku historii, od Antiochii z czasów rozłamu chrześcijaństwa, przez Misjaf i rozłam w islamie, aż do Damaszku, który ich nie zjednoczył. Urodziłam się, a mój rozłam stał się osobą. Uciekłam daleko. Nie wystarczy jednak założyć marynarską czapkę, żeby czekał na mnie mężczyzna w każdym porcie i żeby odkrył moje tajemne cechy indywidualne, żeby zobaczył kolor mojej skóry, moje piersi i pośladki, dołeczki nad kopyłą. Muszę uklęknąć, abyś się pochylił, zdążając do swojego ujścia.

Żadne istnienie nie jest ważniejsze niż moje, a nostalgia nie wypełni pustki straty.

MOJA CZAPKA LECI Z WIATREM

Przyszła do hotelu, żeby się ze mną spotkać, bo jej siostra mieszka w Paryżu. Ani ja jej nie znam, ani ona mnie. Rozmawiamy sztywno i oficjalnie. Nagle przerywam jej i pytam:

– Jesteś panną?
– Po czym to poznałaś? – odpowiedziała z lekkim uśmiechem.
– Jesteś młoda i nie wygląda na to, żebyś musiała zajmować się mężem i dziećmi.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i powiedziała:

– Jestem zaręczona dopiero od dwóch miesięcy.
– Kochasz go?
– Nie – odparła bez zażenowania.
– Wybór rodziny?
– To brat mojej przyjaciółki. Nie ma między nami miłości, ale jest przystojny.

Nic na to nie powiedziałam.

Kontynuowała spokojnie:

– Chłopak, którego kocham od sześciu lat, nie chce się ze mną ożenić. Mówi, że jego rodzina mnie nie zaakceptuje i że nie zgodzą się na nasz ślub. Czekałam całe sześć lat, próbując go przekonać, że to, co jest między nami, ważniejsze jest niż to, co mówi jego rodzina. Bez skutku. Dlatego kiedy przyjaciółka powiedziała mi, że podobam się jej bratu i że chce się ze mną ożenić, zgodziłam się od razu.

Spojrzała na moją minę i ciągnęła, jak gdyby odpowiadała na pytanie, którego nie zadałam:

– Chcę mieć dziecko. Chcę mieć rodzinę i dzieci. Czekałam na niego sześć lat. Mam dwadzieścia osiem lat i nie będę dłużej czekać. Nie będę walczyć z jego rodziną. On mówi, że mnie kocha, ale im się nie sprzeciwi. Bez sensu. Wyjdę za mąż i przeniosę się do Tunisu, przestanę pracować. Jest zamożny, na szczęście. Narzeczony powiedział, że mogę nie pracować, jeśli wolę zostać w domu i zajmować się dziećmi. Tak zrobię. Mówiłam ci, że jest przystojny. Jest marynarzem.

Mówiła, a ja patrzyłam na nią, widząc tylko jej całkowicie wyskubane brwi, które przekształciły się w linie narysowane pewną ręką na jej szerokim czole. Zaczęły się poruszać niczym giętkie robaki nad jej miodowymi oczami.

Kto powiedział, że miłość to smycz? Tylko doświadczenie może nas uwolnić, nawet z kajdan brwi i dążenia do śmierci.

ALE BYŁ PODOBNY DO NIEGO

Sama. Fotele obok mnie są puste, a ja siedzę przy oknie. Chmury pod nami są delikatne, migoczą błyszczącą bielą. Chmury słońca. Chmury rozplywające się z bieli w biel. Chmury spokojne jak wilki. Widać przez nie miasto o prostych ulicach i jasnych kolorach. Jak się nazywa? Kapitan mówi, że jesteśmy na wysokości jedenastu tysięcy stóp, a mimo to wszystko widzę. Teraz lecimy nad Morzem Śródziemnym. Biała linia rysuje jego brzegi.

Jak dawno nigdzie nie podróżowałam?

Przedemną obraz łagodnego spokoju narysowany na eksport. Zawsze to wiedziałam, przekonana, że nie pozostanę w jednym miejscu dłużej niż kręty potok. Ja, która chcę się uwolnić ze wszystkich ograniczających mnie tu więzów, których nie widział nikt poza mną.

To nie tak. Widzieli je ci, którzy zbliżali się do mnie na tyle, żeby je dostrzec i wystraszyć się ich. Zazwyczaj to byli mężczyźni. Do kobiet nie zbliżałam się do tego stopnia. Istnieje odległość, którą zasypie tylko seks, tylko zbliżenie cielesne jest w stanie ją zlikwidować.

Zewnętrzne kajdany społeczne rozrywam jednym dmuchnięciem, kiedy tylko zechcę – pękają jak bańki mydlane.

Nie ma powrotu do źródeł, ale powraca pragnienie ujścia, którego miejsca nie znamy. Rozpadają się wszystkie prawa historyczne, geograficzne i prawa dziedziczenia. Pragnienie silniejsze jest od nich wszystkich i podąża swoją drogą ku nieznanemu, którego pożąda.

Nie jestem rzeką ani bumerangiem, nawet rakieta z określonym torem lotu. Wiem, gdzie się urodziłam, ale nie chcę wiedzieć, gdzie umrę.

Oni wszyscy wrócili i zamknęli krąg. Wskoczyli do swoich otwartych trumien, które czekały na nich w ojczyznach. Odys, Sindbad, Ibn Battuta, nawet E.T. Cała ludzkość płakała, kiedy unosił swój długi palec, wracając do domu.

Czarodziejski ptak ruch nie usiadł na wyspie, a ja nie przywiązałam swej duszy i ciała do jego łap, żeby mnie zabrał tam, gdzie są miasta i osiedla, żeby mnie tam zaniósł. Minął czas opowieści i cudów.

Minął czas opowieści, a mnie przepełnia dzika radość, bo mogę odrzucić daleko wszystko, co mnie obciąża, tak jak brzegiem buta

odtrącam z drogi kamienie. Poczucia wolności nie da się z niczym porównać. Nikt nie może mnie uwięzić. Ani rodzina, ani ojczyzna, ani partia czy miłość, mąż, dziecko, praca. Przerazało mnie to obciążenie. Wiedziałam, że mogę wyjechać w każdej chwili: czy to na jakiś czas, czy też na zawsze. Wydaje mi się teraz, że czasowe wyjazdy umocniły moją niechęć do pozostania.

Byłam pewna, że mam siłę na zerwanie.

Nie powrócę i nie przywrę już ani do żadnego miejsca, ani do żadnego człowieka. Ani do historii, geografii, ani nawet do poezji.

Zmieniam się, idąc za słońcem, które wybieram, tak jak zmienia się mój cień, świadomie, wiedząc, jaki to zakres zmiany.

Łąduję i zrywam się, jak na automatycznej drabinie, która się nie zatrzymuje, a ja też tego nie chcę. Nie chcę stałego miejsca, gdziekolwiek bym była.

Opowieść nie kończy się i w każdej chwili może się znaleźć jej nowa, nieznana kieszeń.

Wszystko, co przeżyłam, stało się opowieścią, którą sama opowiadam. Ona stała się punktem odniesienia. To, co przeżyłam, przekształciło się w słowa tylko w mojej opowieści. Słowa zapisane opowiadają historię, którą wymyśliłam i którą autoryzowałam.

Co nie zostało zapisane, nie zostało przeżyte. Co nie zostało zapisane, tego nie było. Opowieść nie stanie się opowieścią, dopóki nie zostanie powiedziana?

Zastanawiam się, jak zmieniła się opowieść, i zrozumiałam, że stała się po prostu moją opowieścią. Ja piszę. Ja żyję. Ja opowiadam. Ja zaczynam opowieść i ja ją kończę. Ja ją barwię, ja oświetlam i zaciemniam.

Prawdziwa opowieść traci siły i blednie. Moja wymyślona opowieść jest niczym wyryta w skale. Wyryta tak głęboko, że mnie samą przeraża.

Stażość przerażała mnie nawet w słowach, które zamrażają obraz w chwili, w której zamiera w nich życie. Problem jest taki, że nie mam innych. Za pomocą słów wymyśliłam swoje życie. Za pomocą słów je przeżyłam. Za pomocą słów je opowiedziałam.

Mogę z zadowoleniem zamknąć oczy.

Widzę, jak faluje niebo na ekranie samolotu, jak gdyby to było inne niebo, które rozplywa się we mnie, ale mnie nie dotyka, kiedy

zapadam się w snach, kiedy śledzę upadek w moich snach.

Niebo nigdy mnie nie schwytało. Nie chciało mnie nawet zniszczyć. Nigdy nie schwytało mnie niebo ani ziemia. Pozostałam zawieszona pomiędzy nimi i obserwuję upadek.

W moich snach obserwuję upadek i niebieski horyzont otwarty przede mną aż do morza.

Tunis – Paryż 2009–2011

ARAB IS BEAUTIFUL

Odys wrócił. Wrócił Sindbad i E.T. Wrócił syn marnotrawny.
Wrócił Ibn Battuta. Wszyscy wrócili. Powrócę i ja?

Tydzień na wyspie Odysa, żeby raz jeszcze przeczytać, co napisałam. Nie musiałam nic wymyślać na poczekaniu ani zmieniać wątków mojej opowieści. Historia to zrobiła. Zaczęła się inna, odmienna opowieść: rewolucja w Tunezji. Ibn Ali uciekł. Rewolucja w Egipcie. Śledzę pilnie wydarzenia i rysy w mojej opowieści.

Krążąc od sprzedawcy do sprzedawcy, moja francuska koleżanka z hotelu szuka w Haumat as-Suk pamiątek z Dżarby, a ja razem z nią najnowszych wiadomości z placu At-Tahrir. Al-Dżazira w telewizorach we wszystkich sklepach.

– Z Syrii? – powtarza sprzedawca i wita się ze mną po arabsku, uśmiechając się z głębi serca.

W swoich tajnych snach widzę się tam, w mieście na brzegu morza, jak wychodzę z wody, kiedy moje rodzeństwo bawi się na plaży – jakbym była w naszym domu.

Tam nigdy nie weszłam do morza i nie wyszłam z niego. Tam żyłam w mieście bez morza.

Tylko w snach zaznałam smaku tamtejszego morza.

Czy wszystko to, co opowiedziałam samej sobie, było lekarstwem na ranę niemożliwego powrotu? Czy opowieść była poszukiwaniem iluzji zapomnienia? Próbą przekonania samej siebie, że dokonałam odcięcia i że co minęło, nie powróci? Uspokojeniem iluzji? Gdzie widziałas te niedojrzałe winogrona – w Aleppo czy w Damaszku?

Nawet gdybym z własnej woli przecięła te więzy, to nie znaczy, że nie spędzę swojego życia, szukając tych pustych miejsc i cierpiąc, że ich nie ma. Żeby tak ujrzeć je w snach, przywiązane do innych palców! W snach wyciągam na wprost dłoń i widzę przed oczami wszystkie pięć palców.

Być może istniały prawa wszechświata: nie ma prawdziwego grzechu, ale jest prawdziwa opowieść. Nie możemy jej naruszyć nawet poprzez pismo, niezależnie od tego, jak mocno byśmy tego chcieli.

Prawo powrotu? Prawo rzeki wyłobionej od źródła do ujścia? Czy rewolucje wybuchły, żeby zmusić nas do poprawienia jej biegu? Żeby zmusić nas do przeżycia prawdziwej opowieści? Żeby napisać

naszą prawdziwą opowieść?

 Nie ma prawdziwego grzechu. Ale jest prawdziwa opowieść.

eh

¹ Kausar – jedna z rzek muzułmańskiego raju (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² Znany średniowieczny podróżnik arabski.

³ Od jednej z nazw Damaszku i Syrii – „Asz-Szam”; damasceńczycy.

⁴ Początek sloganu partii Al-Bas: „Jedność, wolność, socjalizm”.

⁵ Rodzaj żeński słowa džinn.

⁶ Autorka używa terminu *hazima*, którym określa się m.in. przegraną przez Arabów wojnę z 1967 roku.

⁷ To początek jednego z najsłynniejszych poematów arabskich autorstwa Imru al-Kajsa (VI w.).

⁸ Werset powtarzający się w formie refrenu w 55. surze Koranu.

⁹ Pierwszy werset sury 108. *Obfitość (Al-Kausar)*.

¹⁰ Marid – rodzaj złego ducha, džinna w arabskiej tradycji ludowej.

¹¹ Nawiązanie do koranicznej „duszy pobudzającej do złego”, sura 12., werset 53.

¹² W zdaniu tym pojawiają się dwa nawiązania zewnętrzne niemożliwe do oddania w przekładzie. Prosta droga – arab. *sirat mus takim* – to pojęcie z eschatologii muzułmańskiej – most, po którym po Sądzie Ostatecznym dusze podążą do raju, jeśli się na nim utrzymają, lub do piekła, jeśli z niego spadną. Obowiązek osobisty – arab. *fard Ajn* – to termin z prawa muzułmańskiego, oznacza obowiązek ciążyący na każdym muzułmaninie z osobna, niemający charakteru zbiorowego.

¹³ Nawiązanie do stałego motywu poezji staroarabskiej – opisu opuszczonego obozowiska – arab. *atlal*.

